



STYCZEŃ  
MARZEC

1990

# MIESIĘCZNIK POLITYCZNY ORGANIZACJI LIBERALNYCH DEMOKRATÓW

Nr: 97-99

WARSZAWA

cena 5000zł

REZOLUCJA KOŃCOWA  
KOMUNIKAT  
WYBIJANIE SIĘ NA NIEPODLEGŁOŚĆ  
PRZYSZŁOŚĆ PRAWICY "(SAMOSTANOWIENIE")  
STABILIZACJA CZY REGRES?  
CZEKAJĄC NA WOLNE WYBORY  
KŁOPOTY Z WOJSKIEM  
POLICJA PAŃSTWOWA  
AFGANISTAN - WOJNA TRWA ("SAMOSTANOWIENIE")  
AFGANISTAN-LECHISTAN-BAHAM ("SAMOSTANOWIENIE")  
ANDY ("BIULETYN AFGAŃSKI")  
PROCHY ŚWIĘTYCH ("SAMOSTANOWIENIE")  
PREZYDENT KACZOROWSKI ("SAMOSTANOWIENIE")  
PARLAMENT POLSKIEJ EMIGRACJI ("SAMOSTANOWIENIE")  
RACHUNKI PANA MOSKALA ("SAMOSTANOWIENIE")  
ŻDŹBŁO W CUDZYM OKU  
SOWIECKI? RADZIECKI?  
POMAGAMY SOBIE ("UNCAPTIVES MINDS")  
HABSBURSKA WIZJA EUROPY ("SUNDAY TELEGRAPH")  
NOTATNIK ARKADYJSKI:  
XL. CARMANIOLA NA FELIKSPŁACU



wydaje G.P."N"

## KONFERENCJA "PRZYSZŁOŚĆ PRAWICY"

### REZOLUCJA KOŃCOWA

Uczestnicy ogólnoeuropejskiej Konferencji o "Przyszłości Prawicy" w Europie Wschodniej ustalili co następuje:

1. Stan społeczeństw i ekonomii Europy Wschodniej dowodzi nie tylko bankructwa leninowskiej idei społeczeństwa odhumanizowanego i uprzedmiotowionego w imię komunizmu, lecz również fiaska idei socjalistycznej jako takiej. Państwowa własność przemysłu, zwyrodnienie demokracji parlamentarnej, pogarda dla religii, tradycji i wartości kultury europejskiej - zaowocowały ubóstwem gospodarczym i dezintegracją społeczeństw.

Stąd płyną wnioski:

a/ nasza wiara w to, że zdrowa liberalna demokracja może istnieć jedynie pod warunkiem, że wyżej wymienione instytucje traktowane są jako jej niezbywalny fundament, którego podważenie jest równoznaczne z ryzykiem zniszczenia wszystkiego, co czyni życie człowieka wartościowym;

b/ nasze potępienie dla tych ruchów politycznych, które stawiają sobie za cel dezintegrację narodowych bogactw, praw i swobód w imię sprawiedliwości społecznej i postępu ludzkości.

2. Uczestnicy Konferencji deklarują chęć przyszłej współpracy na rzecz wspierania wysiłków konserwatystów i liberalów w całej Europie, którzy dążą do przywrócenia wartości i norm politycznych, ekonomicznych i społecznych zagrożonych socjalizmem. Zobowiązują się też do popierania ludzi prześladowanych i więzionych za swoje przekonania i działania w obronie godności Człowieka.

#### KOMUNIKAT:

W związku z zaprzestaniem ukazywania się kwartalnika politycznego "SAMOSTANOWIENIE" w niniejszym numerze drukujemy materiały przygotowane do 10 numeru tego pisma.

REDAKTOR DYŻURNY

## "WYBIJANIE SIĘ NA WOLNY RYNEK"

W poprzednim numerze zauważywszy, że "zupełnie nie mam, wbrew zmasowanej propagandzie telewizyjnej, poczucia życia we własnym państwie" pisałem, "że dla mnie 'wybicie się na niepodległość' to jakby suma trzech procesów: 'wybicia się' łącznie, i 'na suwerenność', i 'na demokrację', i 'na wolny rynek'".

O "wybijaniu się na demokrację" już pisałem (w październiku). Poniżej chciałbym zająć się procesem, kto wie czy nie ważniejszym, a napewno trudniejszym - "wybijaniem się na wolny rynek". Za ten zaś proces to tak naprawdę jeszcze się nie zabraliśmy. "To co się do tej pory w tej materii dzieje - pisałem w poprzednim numerze - cała liberalna ofensywa w publicystyce - to zaledwie oczyszczanie przedpola. To przywracanie właściwego znaczenia takim pojęciom jak zysk, własność czy praca, to od czarowywanie słów jeszcze niedawno wyklętych takich jak kapitalizm, interes czy bezrobocie. Działania rządu Mazowieckiego, w szczególności to co ma do zaproponowania tzw. plan Balcerowicza, to dla odmiany przygotowywanie dopiero podstawy do ataku na twierdze socjalistycznej (a nie jak się mówi teraz w Polsce - komunistycznej) nomenklatury. Na tym etapie łatwo o zgodę.

Ale pozorną. Jeśli się choć trochę głębiej poskrobie, jeśli się wnikliwiej rozpatrzy pomysły obecnych elit - to budzą się wątpliwości... i to poważne.

Przyjrzyjmy się choćby procesowi prywatyzacji... Myśli się ją, bardzo często, z reprivatyzacją. Tymczasem przed prywatyzacją powinna mieć miejsce reprivatyzacja - czyli zwrot tego co nielegalnie lub pseudolegalnie zagrabiono w ciągu ostatnich lat czterdziestu pięciu. Oraz odszkodowania za uzyskane w wyniku korzystania z zagrabionego mienia korzyści dla żyjących jeszcze właścicieli lub ich spadkobierców. Nie możemy, jeśli mamy ambicje by Polska była państwem prawa, prywatyzować bez uprzedniej reprivatyzacji. Nie możemy dopuścić do ponownego grabienia tego co już raz zostało zagrabione. I tę lekcję raz już przecież braliśmy...

Oczywiście, należy liczyć się z różnymi trudnościami. Części majątku już nie ma, w inny sposób zainwestowano, przeprofilowano produkcję... Dla chcącego nie ma jednak nic trudnego. W takich i podobnych przypadkach odszkodowanie przekazać można choćby w postaci bonów prywatyzacyjnych.

Inną kontrowersją jest kwestia czy prywatyzacja ma być szybka i głęboka, czy sprawiedliwa? Opinii społecznej, oraz licznym środowiskom obecnej elity władzy perspektywa dopłacania do różnych mamutów komunizmu jeszcze przez naszych wnuków nie wydaje się spędzać snu z powiek. Co innego jeśli jakiś łośbki facet z żyłką do interesów potrafi z takiej fabryki inflacji wydusić pieniądze. A niby z jakiej racji?

Szybka i głęboka prywatyzacja nie leży także na sercu, to już widać gołym okiem, administracji gospodarczej, z drastycznym już przypadkiem pełnomocnika od przekształceń majątkowych, ministra Lisa, starającego się, jak narazie z powodzeniem, przeciągnąć ten proces na wiek XXI.

Nie widać także, przynajmniej narazie, żadnych prób by prywatyzacją zainteresować ogół obywateli, na przykład poprzez masowe uwłaszczenie społeczeństwa nieodpłatnym przydziałem bonów prywatyzacyjnych choćby według formuły Janusza Lewandowskiego i Jana Szomburga.

A tu jeszcze wypada zwrócić uwagę na nicodzienną indolencję rządu w tworzeniu warunków przyciągających do Polski kapitał zagraniczny, który proces prywatyzacji przecież by przyspieszył. Jeśli się bowiem o zachodnich biznesmenów zabiega to przecież trzeba im wyłożyć czerwony chodnik. Oczywiście symboliczny...

A ten czerwony chodnik to sprawne telefony, niezawodna poczta, cywilizowany system bankowy... Czego temu rządowi nie tylko nie udało się osiągnąć przez pół roku sprawowania władzy, ale nic nie wskazuje by za następne pół roku coś się w tej materii zmieniło.

I taką wyliczankę można by kontynuować. A przecież gros trudności dopiero przed nami. Niezadowolenie z reformy, jeszcze zanim się na dobre zaczęła narasta. I napewno znajdują się siły, które do tego niezadowolenia się odwołają. Czy jednak w tym celu by przemiany te przyspieszyć? By co się da sprywatyzować? By zauważalnie wycofać państwo z gospodarki? By postawić na odpowiedzialność, efektywność i inicjatywę?

Nie jestem wcale pewny. A raczej jestem pewny, że siły te zaprotestują "przeciwko bijącym w oczy niesprawiedliwościom kapitalizmu". I, że zaczną "konstruować teoretyczne modele 'nowego wspaniałego świata' efektywnej, sprawiedliwej i nigdy jeszcze w praktyce niesprawdzonej ekonomii".

Wszelkie zaś kunktatorstwo we wprowadzaniu systemu rynkowego - przypominające obcinanie psu ogona po kawałku, bo będzie mniej bolało - wszelkie rozciąganie tej operacji w czasie, rozkładanie tej operacji na raty sprzyjać będzie takiemu właśnie, niekorzystnemu przebiegowi wydarzeń.

Tylko bowiem radykalne i szybkie przemiany mogą przynieść w miarę szybkie rezultaty. Tylko zaś do rezultatów odwołać się będą mogły pro-rynkowe siły na polskiej scenie politycznej. I tylko wtedy przeforsować będą mogły taki program przemian gospodarczych, który doprowadzi w rezultacie do "wybicia się Polski na wolny rynek".

Artur WIEDZYSTY

## PRZYSZŁOŚĆ PRAWICY

Na przełomie września i października odbyła się w Radzikowie koło Warszawy międzynarodowa sesja "Przyszłość prawicy w Europie Środkowej i Wschodniej". Współorganizatorami sesji byli: Konserwatywna Rada na rzecz Europy Wschodniej z Wielkiej Brytanii, Demokratyczne Kluby na rzecz Europy Środkowej z Węgier i Austrii oraz środowisko miesięcznika "RES PUBLICA" z Polski. Licznie przybyli działacze konserwatywni z RFN. Obecni byli także prawnicy z Czechosłowacji i Jugosławii. Rangę spotkania wzmocniła obecność kilku deputowanych do Bundestagu i brytyjskiego Parlamentu.

Tradycje międzynarodowej współpracy są na prawicy dużo słabsze niż na lewicy. Konserwatyści nigdy nie tworzyli międzynarodówek. Konflikty nacjonalizmów znacznie bardziej przeszkadzały kooperacji między prawnicami niż uczestnikami frontów ludowych. Jeśli jednak chcemy myśleć o zbliżeniu narodów Europy, nie możemy pozostawić tej sprawy ludziom lewicy. Zwłaszcza zaś w dążeniach do włączenia Europy Środkowej i Wschodniej w nurt integracji całego kontynentu prawica może mieć poważny udział. Dlatego kontakty konserwatystów z różnych krajów Europy, starania o jak najszerszy przepływ myśli i informacji, mają tak ważne znaczenie.

Konferencja w Radzikowie była pierwszym wydarzeniem tego typu. Największe jej znaczenie polega na tym, że stała się ona okazją do spotkania ludzi reprezentujących orientację prawnicową w różnych kra-

-jach i dała możliwość nawiązania wielu interesujących kontaktów. Nieco gorzej było z oficjalną częścią sesji, ale można to złożyć na karb barku jakiegokolwiek doświadczenia w organizowaniu tego typu konferencji.

Uczestnicy sesji mieli zabierać głos w dyskusji na cztery dość ogólnikowo sformułowane tematy: "Tradycja i instytucje", "Gospodarka i wolny rynek", "Dylematy socjalizmu" i "Polityka i moralność". Brak wcześniejszego sprecyzowania tez do dyskusji sprawił, że rozrzut tematyczny poszczególnych wypowiedzi był ogromny. Niewiele było głosów poświęconych filozofii konserwatywnej i ideowym podstawom myśli prawicowej, dominowała raczej dyskusja o bieżących problemach politycznych.

Wśród wygłoszonych referatów na szczególną uwagę zasługiwała wypowiedź prof. Anthon`ego O`Hary z W. Brytanii - "Nie tylko wolny rynek" - poświęcona polemice z koncepcją Hayeka. Hayek - według O`Hary - miał oczywiście rację, kiedy twierdził, że tylko gospodarka rynkowa może zapewnić ludziom odpowiedni poziom życia i szansę realizacji ich możliwości. Ale bezwarunkowy indywidualizm jest dla społeczeństwa równie szkodliwy jak kolektywizm. Tylko instytucje tradycyjne są nosicielami wartości, których wolny rynek nie jest w stanie zagwarantować. Tylko dzięki wartościom może przetrwać zdrowe społeczeństwo. Inni brytyjscy uczestnicy dyskusji zwracali również uwagę na rozróżnienie między konserwatyzmem i liberalizmem.

Jeden z Węgrów trafnie zauważył, że nie wolno utożsamiać zachodnio-europejskich socjalistów ze wschodnio-europejskim totalitarnym komunizmem. Takie utożsamienie może być wygodnym argumentem w walce politycznej na Zachodzie, ale przeszkadza w zrozumieniu istoty komunistycznego totalitaryzmu.

Interesujący i trafny, choć dla większości polskich słuchaczy kontrowersyjny, był głos Rogera Scrutona, wydawcy brytyjskiego czasopisma konserwatywnego "The Salisbury Review". Wypowiedział się on przeciwko udzielaniu Polsce zachodniej pomocy. Wspomaganie państw, które zniewoliły nasze narody, utrwała ich istnienie. Pomoc dla Polski może oznaczać pomoc dla komunistów. Pieniądze należałoby pożyczać ludziom, którzy podejmują konkretne inicjatywy gospodarcze, a nie państwu. Polska jest członkiem Układu Warszawskiego, a celem tego układu jest wprowadzenie socjalizmu na całym świecie. W interesie Zachodu jest więc, żeby państwo polskie było biedne, nawet gdyby Polacy mogli być bogaci. Jedynym sposobem na uwiarygodnienie się Polski w oczach Zachodu byłoby jej wystąpienie z Układu Warszawskiego. Zachód tego za Polskę nie zrobi.

W większości wypowiedzi dominowało przekonanie, że komunizm został już ostatecznie pokonany i w związku z tym nie stanowi on zagrożenia. Polacy zabierający głos koncentrowali się na ogół na przedstawianiu katastrofalnej sytuacji naszego kraju i apelowaniu o pomoc. Senator Machalski przedstawił katastrofalną wizję, że społeczeństwo polskie przygniecione kryzysem nie zgodzi się na reformy i pojawi się w Polsce trwały chaos, stan wewnętrznej implozji. Marcin Król okazał się jeszcze większym katastrofistą. Odrzucając możliwość powrotu komunistów do władzy przewidywał emigrację połowy społeczeństwa polskiego na Zachód, a w kraju wprowadzenie dyktatury na wzór Pinocheta przez sojusz Kościoła i generałów. Wnioskiem w obu wystąpieniach była oczywiście ręka błagalnie wyciągnięta po pomoc.

Z taką wizją polemizował niżej podpisany, mówiąc m.in.: "Partia komunistyczna w Polsce nadal istnieje... Ma niepodzielnie w swoim ręku wojsko - tę samą armię, która przeprowadziła zamach 13 grudnia... Partia komunistyczna w Polsce sprawuje niepodzielną kontrolę nad policją i siłami bezpieczeństwa... Nomenklatura komunistyczna nadal utrzymuje pozycje w gospodarce. Organizacje partii komunistycznej znajdują się we wszystkich zakładach produkcyjnych... To złudzenie sądzić, że komuniści dobrowolnie zrezygnują z zajmowanych pozycji... Jaki jest plan polskich komunistów? Istnieje możliwość, że "Solidarność" skompromituje się wobec społeczeństwa, jeżeli rząd będzie prowadził bezwzględną politykę obniżania poziomu życia... Wtedy dojdzie do zaostrzenia sytuacji społecznej, strajków i zamieszek. Komuniści wkroczą do akcji i zduszą polskie przemiany po to, by zaprowadzić porządek, a zarazem bronić ludzi pracy przed bezwzględną,

antyrobotniczą polityką "Solidarności". Druga możliwość jest taka, że rząd "Solidarności" osiągnie sukces gospodarczy, zreformuje i postawi gospodarke na nogi. Wtedy komuniści też wkroczą. Po prostu przejmą to, co "Solidarność" osiągnęła i to, co otrzymała z Zachodu. Są doświadczenia historyczne, np. likwidacja NEPU przez Stalina w latach dwudziestych. Czy można uratować Polskę przed taką perspektywą? Uważam, że jest to możliwe, ale zależy od zasadniczych zmian politycznych. Należy unicestwić nomenklaturę, usuwając organizacje partii komunistycznej z zakładów produkcyjnych. Należy odebrać komunistom kontrolę nad armią i policją. To zadanie dla samych Polaków, ale naciski Zachodu na te zmiany byłyby również pożyteczne. Podstawowa sprawa: nie należy udzielać bezwarunkowej pomocy metodą - od rządu dla rządu. Pomoc nieuwarunkowana politycznie miałyby sens tylko jako pomoc dla indywidualnych ludzi na konkretne przedsięwzięcia gospodarcze. Pomoc w szerszym zakresie powinna być uwarunkowana politycznie. Miał rację prof. Roger Scruton twierdząc, że pomoc dla Polski powinna być uzależniona od wyjścia Polski z Układu Warszawskiego.

Konferencja w Radzikowie nie znalazła niemal żadnego odbicia w krajowych środkach przekazu z wyjątkiem jednej sprawy: wypowiedzi dwóch Niemców na temat granicy na Odrze i Nysie. Ta ostatnia sprawa, dla samego spotkania marginalna, urosła w "GAZECIE WYBORCZEJ" i "RZECZYPOSPOLITEJ" do rangi głównego problemu.

Deputowany do Bundestagu Werner oświadczył, że Rzesza Niemiecka istnieje w granicach z 1937r. Żadne porozumienia między mocarstwami nie mogą zakwestionować elementarnego prawa człowieka i prawa narodu - prawa do samostanowienia. Dlatego Niemcy nigdy nie przyjmą ustaleń Jałty i Poczdamu. Działacz ziomkowski Hartmut Koschik posunął się jeszcze dalej twierdząc, że porozumienia między Niemcami i Polakami powinny zostać oparte na wzajemnych ustępstwach w sprawie granic. W związku z tym wysunął propozycję kompromisowej granicy - sprzed I rozbioru Polski.

Próby polemiki ze strony polskiej były, niestety, dość nieporadne. W odpowiedzi Wernerowi przedstawiciel Unii Polityki Realnej stwierdził, że prawica nie zna pojęcia "samostanowienie", a jedynie pojęcie siły. Koschikowi odpowiedział Marcin Król, że ziemie nad Odrą i Nysą są tak samo polskie, jak Wilno jest litewskie.

Spotkanie w Radzikowie, którego rezolucję końcową drukujemy na str. 2, było pierwszym publicznym krokiem na drodze współpracy konserwatystów wschodniej i zachodniej Europy. Jest dla nas ważnym zadaniem, aby nastąpiły dalsze kroki na tej drodze. W Polsce będą one możliwe w miarę kształtowania się normalnego życia politycznego i konsolidowania politycznych partii pravicowych.

Tadeusz ZAKRZEWSKI

/Tomasz BORKOWSKI

październik 1989, "SAMOSTANOWIENIE"/

## S T A B I L I Z A C J A C Z Y R E G R E S

Czas powyborczej euforii, jak się zdaje, minął bezpowrotnie. Już nie wystarczy hasło: "Jesteśmy nareszcie we własnym domu", aby społeczeństwo polskie patrzyło z nadzieją w przyszłość. Po ośmiu miesiącach solidarnościowej władzy mechanizm rządzenia krajem zaczyna zgrzytać. Sojusz zawarty w Magdalence powołał do życia hybrydalny system władzy. Skonstruowanie rządu z konkurujących do niedawna sił politycznych - kilka miesięcy temu w skali środkowej Europy - posunięcie rewolucyjne - choć od razu budzące wątpliwości - staje się obecnie czynnikiem destabilizującym społeczny spokój w Polsce. Rządowy plan wicepremiera Balcerowicza, w sferze realizacyjnej wyraźnie wchodzi w okres zastoju. Przemiany polityczne, których celem miała być radykalna zmiana systemu politycznego wdrażane są z niebываłą wręcz ostrożnością. Rezultatem ich połowiczności jest dostrzegalne gołym okiem zakonserwowanie istotnych elementów starego ładu politycznego. Twierdzenie, że pod rządami solidarnościowego premiera komuna ma się dobrze, da się więc dobrze uzasadnić. Ciągący się miesiącami spór o majątek komunistyczny, ustawy o spółdzielczości czy RSW, nieudolne próby prywatyzacji - to są właśnie rezultaty sojuszu komunistów z solidarnościową lewicą zgrupowaną

wokół "GAZETY WYBORCZEJ" i kierownictwa OKP.

Społeczeństwo polskie, faszerywane optymistycznymi prognozami, zafascynowane sferami odzyskiwanej wolności, wykazuje maksimum cierpliwości i zaufania. Ekonomiczne koszty operacji gospodarczych ponosiło i ponosi bez szemrania i strajków mimo świadomości, że obok rosną fortuny były aparatczyków, ubeków i innych członków mafii czerwonych. Plan Balcerowicza energicznie wdrażany przez pierwsze trzy miesiące, rzeczywiście mógł budzić nadzieję na sukces. Spowolnienie tempa inflacji, wzrost podaży towarów na rynku, względna obfitość żywności, zahamowanie wypływu pieniądza na rynek, stabilizacja relacji dolara do złotówki - to bezpośrednie efekty drakońskiej, ale niezbędnej kuracji ekonomicznej. Potem miała mieć jednak miejsce szybka prywatyzacja gospodarki i uruchomienie mechanizmów proprodukcyjnych, przede wszystkim poprzez zmniejszanie podatków, ulgi dla kapitału i powolny wzrost płac.

Mija założony przez rząd okres - i co? Nic się nie dzieje. Ustawa o prywatyzacji ciągle dyskutowana w komisjach sejmowych, torpedowana przez lewicę różnych odcieni, ma niewielkie szanse ukazać się przed wakacjami. Płace pozostawione być mają na niezmiennym w zasadzie poziomie, horendalne podatki, brak zachęt dla inwestorów zagranicznych - wszystko to czyni powoli z naszego majątku narodowego kupę bezużytecznego złomu. Kunktatorstwo i odwlekanie realizacji planu radykalnej prywatyzacji gospodarki narodowej spowoduje, że za kilka miesięcy tak naprawdę nie będzie już czego prywatyzować.

Jakby na przekór wszystkiemu, lewica polska, aktualnie sprawująca władzę, zwiera szeregi przygotowując do zasadniczych rozstrzygnięć politycznych. Jej liderom nie wystarczają już umizgi do proreformatorskich czerwonych, nie wystarczy zablokowanie rzetelnych rozliczeń z komunistyczną przeszłością - celem dalekosiężnym staje się monopol na polskiej scenie politycznej. W celu umocnienia swoich wpływów, lewica stosuje wszelkie chwytły. Nawet prezydent Jaruzelski, ostoja - nie ostatnia, ale najistotniejsza - czerwonej przeszłości, stał się cennym sojusznikiem w walce o władzę. Przeciwnicy polityczni lewicy pomawiani są - jak w dawnych "dobrych" czasach - o polityczne warcholstwo i próby destabilizacji państwa. Międzynarodówka socjalistyczna - tracąca przychółki w innych demokratyzujących się krajach europejskich - szansę rozciągnięcia swoich wpływów upatruje właśnie w Polsce. Za tym idzie oczywiście poparcie i propagandowe i materialne...

Polsce tymczasem umyka dziejowa szansa, aby w spokoju społecznym metodami radykalnymi ale ewolucyjnymi zmienić system polityczny i gospodarczy. To ostatni dzwonek, aby w sposób odpowiedzialny podjąć to wyzwanie. Musi nastąpić natychmiastowe przyspieszenie wszelkich reform ustrojowych, musi nastąpić rzetelne rozliczenie z komunistyczną przeszłością, musi zakończyć się niebezpieczny flirt czerwonego z różowym, z aparatu państwowego i gospodarczego musi zostać usunięta niekompetentna nomenklatura, polski rząd musi ulec daleko idącej rekonstrukcji, a stanowisko prezydenta musi objąć człowiek, który z Gorbaczowem nie będzie rozmawiał jak komunista z komunistą. Wszystko to powinno nastąpić jeszcze przed wiosennymi wyborami do Sejmu i Senatu. Nową konstytucję PR musi uchwalić nowe Zgromadzenie Narodowe, gdyż obecne nie reprezentuje społeczeństwa.

Polska oczekuje radykalnych zmian. Widocznych gołym okiem. Zmian, które przy katastrofalnej sytuacji gospodarki mogłyby stać się antidotum na skrajne, radykane, populistyczne postawy. Czas Magdaleny dobiegł kresu. Ci, którzy, krępowani ideologią, własnym egoizmem lub brakiem kompetencji, hamują radykalne przemiany - muszą odejść. Czy takie radykalne przyspieszenie nastąpi? Dotychczasowa praktyka i tempo przemian skłaniają ku pesymizmowi. Obym się jednak mylił.

Metody NON-WIOLENCZYK

Wiosna 1990r. będzie gorącym okresem politycznym. Zapowiedziana przez wice-premiera Balcerowicza reforma gospodarcza, której głównym celem przynajmniej w pierwszym okresie, jest radykalna polityka deflacyjna zaczyna dawać pierwsze rezultaty. Wysokie podatki dochodowe i obrotowe, bardzo drogie kredyty, radykalna kontrola wpływu pieniędzy na rynek zrównoważyły sytuację na rynku przynajmniej w niektórych jego sektorach. Prócz tych niewiarygodnych osiągnięć zaczęły się pojawiać niepokojące sygnały. Gospodarka, przynajmniej w sferze produkcji dóbr i usług, zaczyna przeżywać zastój. Wymuszone obniżenie popytu, ciągle rosnące ceny na podstawie produkty i usługi zwłaszcza w sferze dóbr konsumpcyjnych powoduje ich nadprodukcję. Zakłady przemysłowe nie wykorzystują swoich pełnych mocy produkcyjnych, produkować zaś taniej nie są w stanie, gdyż koszty energii, transportu, a zwłaszcza wysokie podatki płacone budżetowi państwa wiczają w cenę produktu. Rynek, jak na polskie warunki bogato zaopatrzone, przeżywa zastój. Zjawisko to w ekonomii nazywa się recesją gospodarczą.

Wszyscy czekają na zapowiedziane ustawy prywatyzujące państwowe nierentowne przedsiębiorstwa. I tutaj zaczyna się kłopot. Solidarnościowy 35% parlament - nie mówiąc o innych poskomunistycznych ugrupowaniach - jest wyraźnie podzielony. Frakcja liberalna w Sejmie prze do jak najszybszego uchwalenia pakietu ustaw prywatyzacyjnych, słusznie pojmując, że zmiana ustroju politycznego wówczas dopiero będzie pełna, gdy zmieni się radykalnie ustrój gospodarczy. A na to nie ma pełnej politycznej zgody. Wszyscy w Polsce chcą gospodarki rynkowej, gospodarki, która zaspakajałaby potrzeby podobnie jak to czyni gospodarka państw zachodnich. W wielu dyskusjach zapomina się jednak, że ta gospodarka musi mieć konkretnego właściciela. Sprywatyzować gospodarkę, to nic innego jak konkretnym przedsiębiorstwom zaoferować konkretnego właściciela, ze wszystkimi jego prawami, wynikającymi z tytułu własności. Postkomunistyczna nomenklatura, korzystając z luk prawnych, a także osobistych powiązań i znajomości, w dużej mierze potrafiła się sprywatyzować poprzez spółki nomenklaturowe. Nie byłoby w tym nic nagannego, gdyż na rynku pracy i kapitału powinna panować pełna wolność decyzji, gdyby partyjni promineneci inwestowali swoje prywatne kapitały. Są one jednak częścią ogólnospołecznej własności, a zagrabione zostały w toku sprawowania niekontrolowanej władzy. Nie takiego kapitalizmu gospodarka polska potrzebuje. Właściciele spółek nomenklaturowych, obracających zagrabionymi pieniędzmi i z nich czerpiących zyski, praworządne sądy powinny natychmiast pozbawić możliwości gospodarowania i pociągnąć do odpowiedzialności karnej.

Nasz kraj potrzebuje radykalnej i przyspieszonej prywatyzacji. Za rok czy dwa, z czego musimy zdawać sobie sprawę - przy tak postępującej dekapitalizacji środków produkcji - prywatyzacja stanie się bezprzedmiotowa. Polski rząd chce procesy prywatyzacyjne rozciągnąć na lata a może na dziesięciolecia. Nic bardziej błędnego. Polskie przedsiębiorstwa są w takiej zapaści ekonomicznej - że dalsze czekanie, lub tylko pozorne ruchy reformatorskie doprowadzą do ich naturalnej upadłości. Nie mamy nowoczesnej gospodarki - jest ona przestarzała, materiałochłonna i energochłonna.

Aby mogła funkcjonować w poszczególne przedsiębiorstwa musi zostać wpompowany kapitał inwestycyjny. Kapitał ten mogą dostarczyć jedynie inwestorzy zagraniczni. Już obecnie przyjeżdżają oni do Polski i wyjeżdżają z niczym. Polscy urzędnicy i specjaliści nie są zainteresowani współpracą z kapitałem zachodnim. Trudno powiedzieć na co lub na kogo czekają polscy decydenci - w większości niezdolni do podejmowania odważnych decyzji gospodarczych. Na przepisy prawne, które umożliwiłyby rozsądne inwestowanie kapitałów zagranicznych w Polsce? Przepisów tych ciągle nie ma i chyba długo nie będzie. Chodzi tutaj przede wszystkim o ulgi lub tzw. "wakacje podatkowe", o transfer kapitałów i pewność gospodarowania. Te podstawowe elementy swobodnej gry rynkowej muszą czekać w Polsce na swą parlamentarną kolej. Byle nie za długo, gdyż np. Czesi i Węgrzy potrafili to szybko załatwić.

Polska ma niepowtarzalną szansę, która z każdym miesiącem maleje, gdyż do grona państw postsocjalistycznych dołączają ciągle nowe - bardziej zdecydowane w korzystaniu z tej szansy. Ustrój polityczny i ustrój gospodarczy warunkują się wzajemnie. Slamazarność polskich reform ma swoje źródło w umowie z komunistami przy tzw. "Okrągłym stole". Zmiana tego układu politycznego staje się w Polsce



potrzebą palącą. Jestem przekonany, że dopiero po wolnych wyborach zmiana na stanowisku prezydenta Polski zacznie się właściwie, korzystnie dla Kraju etap reformowania gospodarki i zmian struktur politycznych.

Cyryl CYWILN

## K Ł O P O T Y     Z     W O J S K I E M

Jednym z elementów "wybijania się" Polski "na suwerenność", bez czego wogóle nie ma mowy o "wybiciu się na niepodległość" jest pozbycie się z Kraju zewnętrznych sił przemocy - czyli wojsk sowieckich; oraz uzyskanie przez naród kontroli nad siłami wewnętrznymi - Ludowym Wojskiem Polskim i Milicją.

Ludowe Wojsko Polskie - którego głównym zadaniem było służenie światowemu komunizmowi poprzez utrzymywanie w Polsce i w krajach sąsiednich narzuconego siłą systemu; i które na tym polu ma niekwestionowane zasługi choćby w sierpniu 1968 r. w Czechosłowacji i w grudniu 1981 r. w Polsce - musi przejść proces "polonizacji". Czyli inaczej mówiąc musi, podobnie jak bywając się całego bagażu tradycji, stać się po prostu Wojskiem Polski

Wojskiem Polskim, bez żadnego innego przymiotnika. Aby tak się stało konieczne jest uruchomienie trzech procesów: odideologizowania, odpolitycznienia i odetatyzowania wojska.

Odideologizowanie oznacza podjęcie takich działań, by wojsko przestało spełniać rolę narzędzia jakiegokolwiek, polskiej czy obcej, doktryny ideologicznej. Oznacza to także neutralność ideologiczną wobec poborców. Dopuszczalne może tu być jedynie kształtowanie postaw patriotycznych i prospołecznych.

Odpolitycznienie to uwolnienie wojska od powiązań z jakąkolwiek strukturą stricte polityczną, w szczególności zakaz działalności politycznej, w tym przynależności kadry zawodowej do partii politycznych. Być może warto rozważyć koncepcje pozbawienia kadry wojskowej przynajmniej czynnych praw wyborczych.

Odetatyzowanie wojska to przecięcie jego obustronnych powiązań aparatem państwowym, choćby poprzez przyjęcie zasady, że karierę w administracji państwowej mogą robić wojskowi wyłącznie w stanie spoczynku. Sądzę, że warto także rozważyć, na wzór USA, zasadę powierzania stanowiska ministra obrony wyłącznie cywilom.

Zarysowane powyżej procesy powinny doprowadzić do powstania armii fachowców wojskowych. W perspektywie warto rozważyć koncepcję stworzenia fachowej, niezbyt licznej, za to dobrze opłacanej ochotniczej armii zawodowej, przy utrzymaniu powszechnego, krótkiego szkolenia męzczyzn na wzór szwajcarski. Tak pomyślana armia powinna być zdolna do prowadzenia działań samodzielnych, zgodnych z polską racją stanu i z polską doświadczeniem obronnym.

Co oczywiście nie oznacza odrzucenia ewentualności funkcjonowania WP w szerszych strukturach obronnych. Nie mogą to być jednak ani polityczne, ani militarne struktury Paktu Warszawskiego. Ta organizacja - od chwili powstania wyłączne narzędzie sowieckiej dominacji nad pozostałymi państwami - jest zbyt skompromitowana i należy ją jaknajszybciej, o ile to możliwe wspólnie (z Węgrami, Czechosłowacją...) zdemontować.

Natomiast swoje bezpieczeństwo Polska powinna sobie zapewnić albo powiązaniem z innymi znajdującymi się w podobnej sytuacji państwami poprzez utworzenie czegoś w rodzaju Środkowoeuropejskiej Wspólnoty Obrony; albo poprzez porozumienia bilateralne z poszczególnymi sąsiadami; albo - i to byłby w naszej obecnej sytuacji wariant najkorzystniejszy - poprzez jaknajsilniejsze związanie się z NATO.

Rozumiem, że ten ostatni postulat wydawać się może polityczną mrzonką. Ile jednak takich politycznych mrzonek okazało się w ubiegłym roku

całkiem realistycznymi koncepcjami. Dlatego sądzę, że w tym właśnie kierunku należy podjąć działania sondujące - by nie znaleźć się w sytuacji modlącego się o główną nagrodę górala, którego sam Pan Bóg musiał monitorować by dał mu szansę... i wykupił los.

Reasumując: LWP w WP przekształcić się może w wyniku długiego i niełatwego procesu, a im szybciej proces ten zostanie zapoczątkowany, tym szybciej domu, który podobno już jest nasz własny, zaczną pilnować nasi własni strażnicy.

Artur WIECZYŚTY

PS: O podjęciu przez obecny rząd niektórych przynajmniej działań "polonizujących" LWP mogą świadczyć ostatnie nominacje dwóch cywilnych i niezwiązanych z wojskowym establishmentem wiceministrów w MONie - Bronisława Komorowskiego i Janusza Onyszkiewicza. - "N"

## P O L I C J A P A Ń S T W O W A

Przez ostatnie czterdzieści lat w Polsce praktycznie nie było policji. Powołana w 1944 r. Milicja Obywatelska miała przede wszystkim na celu ochronę komunistycznego reżymu. Ściganie przestępstw kryminalnych było zadaniem trzeciorzędnym, co odbijało się zarówno na poziomie szkolenia jak i na klasie wyposażenia technicznego pionu dochodzeniowego. Przeobrażenia polityczne w Polsce w ostatnim roku stworzyły nadzieję na gruntowne oczyszczenie tej stajni Augiasza jaką było i jest Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Tak się przynajmniej mogło wydawać...

Dbająca o bezpieczeństwo obywateli policja, aby mogła działać skutecznie musi być odpowiednio wyposażona, posiadać właściwie wyszkolone i odpowiednio dobrane kadry i wreszcie działać w oparciu o dobre prawo policyjne. Postulowana dopiero policja polska nie ma ani jednego ani drugiego, ani trzeciego. Zwłaszcza, że wynikiłe z okrągłostołowego kontraktu obecne aliance elity władzy z byłymi komunistami, praktycznie w ramach tych ostatnich pozostawiły cały aparat ścigania. Bo cóż w końcu znaczą personalne zmiany na szczycie lub przemałowywanie milicyjnych szwidłów, jeśli kluczowe stanowiska w aparacie sprawują nadal osoby, które całe życie wiernie służyły komunizmowi.

Jakby w Polsce nie było specjalistów w tym zakresie, lub jakby nie było nas stać na zapewnienie właściwym kandydatom profesjonalnego szkolenia za granicą. Byli komuniści dobrze wiedzą dlaczego nie chcą oddać tak ważnego przyczółka władzy. Rząd mający reprezentować interesy antykomunistycznie nastawionego społeczeństwa zdaje się tego problemu wogóle nie zauważać.

Tymczasem, jeśli mamy mieć policję to sojusz rządzących z komunistami musi zostać zerwany. Tak zwane miękkie lądowanie, które zapewnić miała Magdalena przekształcać się zaczyna w mafijny układ na trwale regulujący polityczne wpływy. Polsce natomiast potrzeba policji normalnej a nie powstałej w wyniku zakulisowych politycznych przetargów. Policji całkowicie wolnej od politycznych wpływów rządzących elit. Policji działającej w ramach demokratycznego systemu prawnego.

Tymczasowość struktur organizacyjnych, odium niechlubnej przeszłości, rozchwianie w systemie prawnym już dziś rodzi skutki opłakane. Szokujący wzrost przestępczości jest tego dobrym przykładem. Jest on wynikiem także i sabotowanie obowiązków przez część kadry kierowniczej MSW, zajętej raczej niszczeniem archiwów i czekaniem na zmianę sytuacji politycznej.

Policji, jak i innych ważnych polskich problemów nie wolno określać grubą krechą. Poza litością dla przegranych jest jeszcze życie społeczne, które rządzący mają obowiązek regulować zgodnie z interesami i odzuciami rządzących. A jeśli nie potrafią???...

## AFGANISTAN - WOJNA TRWA

Ponad milion mieszkańców Afganistanu zostało zabitych i nie wiadomo ilu jest rannych.

Około 3 miliony straciło dach nad głową.

5 milionów wyemigrowało głównie do Pakistanu i Iranu.

Od pół roku trwa stan wyjątkowy, przedłużony 21 listopada o dalsze 6 miesięcy. "W miastach i miasteczkach, które znajdują się pod kontrolą rządu przestrzeganie, czy raczej nieprzestrzeganie prawa zależy wyłącznie od Nadżibullaha" - powiedział przedstawiciel Komisji Praw Człowieka przy ONZ, Feliks Ermacora.

18 listopada na konferencji prasowej w Islamabadzie, przywódca fundamentalistycznej partii Hezb-i-Islami, Gulbuddin Hekmatyar, zwrócił się do Związku Sowieckiego i Stanów Zjednoczonych o "wstrzymanie pomocy zbrojnej dla Afganistanu". "Jeśli ZSRS przestanie zbroić marionetkowy rząd w Kabulu i pomagać mu w utrzymaniu się przy władzy, gwarantujemy zawieszenie broni" - powiedział Hekmatyar.

Podobny apel wystosował 2 grudnia do Michaiła Gorbaczowa premier tymczasowego rządu w Peszawarze Rasul Sayyaf. Powołując się na przykłady demokratycznych zmian w Europie Wschodniej stwierdził, że mieszkańcy Afganistanu również mają prawo do decydowania o własnym kraju. Afgańscy "kacykowie" nie zrezygnują tak łatwo z zajmowanych pozycji. Nadżibullah oświadczył, że mógłby ustąpić "jedynie pod warunkiem stworzenia prawdziwej koalicji, tzn. takiej, w której znalazłaby się Ludowo-Demokratyczna Partia Afganistanu". Porozumienie ze skompromitowaną władzą - dopuszczalne na Zachodzie - jest niemożliwe w Afganistanie. Nie pozwala na to odwieczny kodeks moralny i tradycja Pasztunów. Obecny prezydent - były szef służby bezpieczeństwa, odpowiedzialny za zamordowanie tysięcy ludzi na początku lat 80-tych - jako polityk jest dla większości ludzi w kraju spaony. Żadnej szansy politycznej nie ma również LDPA. "Jeśli partia komunistyczna pozostanie przy władzy, Święta Wojna będzie trwać nadal" - powiedział rzecznik opozycji Abdul Rahim. Mudżahidowie ogłosili amnestię dla tych żołnierzy armii rządowej i członków kabulskiego reżimu, którzy przejdą na stronę powstańców.

Obserwatorzy zachodni uważają, że powrót na scenę polityczną byłego króla Zahir Szacha, mógłby położyć kres wojnie domowej. 30 listopada podczas wizyty sowieckiej we Włoszech, minister spraw zagranicznych ZSRS, Eduard Szewardnadze spotkał się z ex-monarchą. Oznaczałoby to, że na temat politycznego rozwiązania konfliktu afgańskiego, przywódcy Związku Sowieckiego są tego samego zdania, co zachodni dyplomaci. Jednak plan ten wydaje się nierealny. Dla mieszkańców Afganistanu Zahir Szach nie jest osobą godną zaufania. Władca, który nie walczył razem ze swymi poddanymi, nie uzyska ich poparcia. Zachodni obserwatorzy spodziewali się szybkiego obalenia rządu kabulskiego i zakończenia wojny po ewakuacji wojsk sowieckich w lutym tego roku. Nie pozwoliło na to m.in. wewnętrzne rozbięcie sił powstańczych. Różnice zdań nierzadko kończyły się krwawo. W jednym z takich konfliktów, z inspiracji Gulbuddina Hekmatyara zginęło 30 mudżahidów z opozycyjnego Dżamiat-i-Islami.

Wszyscy w kraju zmęczeni są nie kończącą się wojną, nędzą i głodem. Mieszkańcy nie popierają prokomunistycznej władzy, równocześnie jednak tracą powoli sympatię do powstańców. Mudżahidowie kontrolują około 90% terytorium Afganistanu, nie są jednak w stanie opanować miast.

Obleżonym miastom grozi głód, a zdobycie benzyny i opału staje się niemożliwe. Zimą zeszłego roku z zimna i głodu zmarło wiele tysięcy dzieci i starców. Sytuacja w Kabulu jest katastrofalna, mimo że nie ustaje humanitarna pomoc ONZ i dostawy sowieckie. Związek Sowiecki zwiększył transporty broni, żywności i paliwa. Associated Press podaje, że pomoc ZSRS dla Nadżibullaha przekroczy w tym roku sumę 3 miliardów dolarów. Źródła afgańskie odmówiły podania danych na ten temat.

Nadal też pozostaje niewyjaśniona sprawa obecności sowieckich doradców. Ofiacyjna agencja informacyjna Bachtar zdementowała pogłoski o 300 doradcach, przebywających w jednej z baz raketowych niedaleko stolicy. Poinformowała jednak, że kilku sowieckich żołnierzy kontroluje w Kabulu rozdział broni. Temu z kolei zaprzeczył rzecznik prasowy rządu, który powiedział, że jedynym sowieckim żołnierzem w Afganistanie jest attache wojskowy ambasady ZSRS.

Nie ustają także sowieckie naloty na Afganistan. Przywódca opozycji Sibghatullah Modżadidi zwrócił się do rządu amerykańskiego z prośbą o dostarczenie powstańcom broni przeciwlotniczej.

Wobec zwiększenia dostaw wojskowych z ZSRS dla Nadżibullaha, Stany Zjednoczone i Arabia Saudyjska przyznały mudżahidom pomoc militarną w wysokości 715 milionów dolarów.

Wojna trwa.

Joanna MORAWSKA  
/"SAMOSTANOWIENIE"/

## A F G A N I S T A N - L E C H I S T A N - B A H A M

SAMOSTANOWIENIE: Jest Pan kolejnym Polakiem, o którym dowiadujemy się, że przebywał w Afganistanie wśród powstańców. Wymieńmy ich w kolejności: Andrzej Skrzypkowiak, Lech Zondek, Jacek Winkler, Radek Sikorski, Pan ...

MAREK KOZNIEMSKI: Tak, to wszyscy, o których słyszałem. Z tej piątki Lech Zondek i Andrzej Skrzypkowiak w Afganistanie zginęli. Spotkałem człowieka, który znalazł Lecha Zondka - zabił się on spadając ze skał, przechodząc przez góry z Pakistanu do Afganistanu. Natomiast Andrzej Skrzypkowiak został zamordowany przez ludzi z Hezb-e Islami Hekmatiar.\*

SST: O bandyckich wyczynach członków tej partii można sporo usłyszeć. Na początku lipca zabili 30 dowódców konkurencyjnej partii Jamiat-e Islami, jadących na naradę do komendanta Masuda. Poprzednio te gwałty nie wywoływały radykalnych kroków ze strony Koalicji Afgańskich Partyzantów w Peszwarze. Czy Hezb-e Islami Hekmatiar nadal pozostaje w rządzie tymczasowym powołanym na początku roku przez Koalicję?

MK: Hekmatiar sam ustąpił z Koalicji. Trzeba powiedzieć, że przypadki zabójstw na tle politycznym powtarzają się. Np. w Kandaharze został zabity komendant Latif, góral 38-letni, ale w doskonałej formie fizycznej. Dowodził oddziałami Narodowego Frontu Islamskiego Pierra Gailaniego. Pretekstem zabójstwa było zawarcie rozejmu z oddziałami reżimowymi, które trzymają miasto. Swego czasu chyba dwuletni rozejm utrzymywał Masud, co posłużyło mu do skonsolidowania władzy nad całym rejonem Pandższiru i okolicznych dolin. W Kandaharze rozejm nie przysłużył się powstańcom. Mimo, że część kraju zamieszkała przez koczowniców puszczańskich leży wśród południowych stepów, zimą - podobnie jak w górach - żadna komunikacja na większą skalę nie jest tam możliwa. Tymczasem do miasta dotarł olbrzymi, ponad półtysięczny konwój ciężarówek z zaopatrzeniem, co pozwoli przetrwać zimę odciętym w mieście wojskom reżimowym.

SST: O Afganistanie mówi Pan z dużą znajomością rzeczy. Kiedy i w których prowincjach przebywał Pan w Afganistanie? Jakie było Pana zaangażowanie po stronie partyzantów?

MK: Byłem w czerwcu 1987r. w prowincji Kunar i ponownie jesienią 1988r. w Paghman, w okolicach Kabulu. Zajmowałem się fotograficzną i filmową dokumentacją wojny, także malowałem i rysowałem.

SST: Wydaje się, że wyjazdy Europejczyków do Afganistanu pozwalają Zachodowi lepiej zrozumieć ten konflikt. Czy Afgańczycy są podobnego zdania?

MK: Teraz Afgańczycy nie wpuszczają już każdego, bo wielu przekraczało granicę, robiło trochę ujęć i wracało z nieprawdziwym materiałem filmowym. Andrzej Skrzypkowiak nauczył operowania kamerą video samych Afgańczyków i robią to bardzo dobrze, filmują podczas walki, więc obecność innych reporterów nie jest już tak potrzebna, jak przed paru laty.

SST: Kto był pierwszym Polakiem wśród powstańców afgańskich?

MK: Bez wątplenia Andrzej Skrzypkowiak. Był tam niemal od początku wojny.

SST: A czy znana jest w Afganistanie Polska i problematyka jej zmagania z komunizmem?

MK: Tak. Każdy z dowódców słyszał o Lechu Wałęsie, o Polsce, że walczy. Wśród prostych partyzantów znajomość tych spraw jest mniejsza, ale Polacy jako naród są odróżniani. Istnieje świadomość wspólnoty walki z komunizmem wyrażająca

się hasłem: Afganistan - Lechistan baham /Afganistan - Polska razem/.

SST: Jak skończy się wojna? Czy po wycofaniu Armii Sowieckiej i niepowodzeniach partyzanckich szturmów na miasta opór przeciw Nadżibowi stopniowo wygaśnie, czy może powróci król, a może partyzanci jednak zwyciężą?

MK: Nadżib jest symbolem sowieckiej wojny z Afgańczykami. Nadal jest to wojna święta, religijna. Jeśli zabraknie Nadżiba - może się stosunki wewnętrzne jakoś ułożyć. Rola króla Zahir Szacha, obalonego 15 lat temu, jest niepewna. Z jednej strony cieszy się on zaufaniem części prostych uchodźców afgańskich, w Pakistanie, z drugiej strony przywódcy partii islamskich pamiętają jego nieudolność, korupcję za czasów monarchii i wprowadzenie przez niego właśnie wpływów sowieckich do kraju. Za złe mają mu też Afgańczycy, że siedział z dala od wydarzeń na emigracji w Rzymie. Podobnie jego stronnik generał Wadak - mimo, że zawodowy wojskowy - przebywał w Rzymie zamiast walczyć w polu. Wiek nie może być wymówką, jak świadczy przykład komendanta Latifa.

Jednakże Afgańczycy muszą w końcu znaleźć jakiś modus vivendi, zwłaszcza jeśli obie strony zostaną pozbawione wsparcia materiałowego. Amerykanie po wycofaniu się Rosjan początkowo ograniczyli dostawy, co spowodowało pewne osłabienie możliwości zbrojnych działających powstańców, kiedy strona reżimowa była nadal obficie zaopatrywana z ZSSR. Warto przy tym pamiętać, że dwa lata musiały minąć od wycofania się Amerykanów z Wietnamu do zdobycia Sajgonu przez regularną armię Północy. Afganowie nie mają armii regularnej i nie minął nawet rok od wycofania się jednostek sowieckich. Bądźmy cierpiliwi! Reżim Nadżiba w dłuższej perspektywie nie ma szans!

SST: Jakie problemy staną przed wolnym Afganistanem?

MK: Główny problem to straszliwa dewastacja kraju i miny. Na obszarze kraju o powierzchni Francji jest 20 - 30 milionów min. 80% domów jest w ruinie. Afganistan będzie potrzebował więc pomocy, wszelkich fachowców i wszystkich, którzy zechcą pomóc. Można będzie się zgłaszać do tej pracy za pośrednictwem ONZetu i myślę, że nie zabraknie wśród ochotników także Polaków, z kraju, z Polski. Polska i Afganistan powinny współpracować, być razem, także po wojnie.

SST: Dziękuję za rozmowę.

\* patrz tekst następny /"ANDY"/

rozmawiał Stanisław PLEWAKO  
/Londyn, 22 września 1989r  
"SAMOSTANOWIENIE"/

A N D Y

przedruk: "BIULETYN AFGAŃSKI" Nr 6, IV.1989, str. 41

W połowie października 1987 zginął w Afganistanie Andy Skrzyżkowiak, obywatel brytyjski polskiego pochodzenia, najwybitniejszy reporter filmowy wojny afgańskiej.

Był Andy częścią legendy, jaka otaczała mudzahedinów komendanta Massuda: podziwiany za odwagę - szczególnie wysoko cenioną w Afganistanie i lubiany za dobroć skrywaną pod pozorami szorstkości /widziałem jak na wysokiej przełęczy oddał zmarzniętej kobiecie swoje okrycie/.

Młodość spędził jako zawodowy żołnierz. Silny charakter i wielka sprawność fizyczna otworzyły mu drogę do najbardziej elitarnej formacji S.A.S. To doświadczenie pomagało mu w pracy, wiedział jak zachować się w "kontakcie z wrogiem" używał często tego słowa, które w słownictwie wojskowym oznacza walkę/. Był specjalistą w skokach spadochronowych z dużej wysokości i z opóźnieniem, pracował jako instruktor wojskowy, walczył w wojnach, o których mało kto w Europie wiedział: w Omanie i na Borneo. Opuścił wojsko, szukając uspokojenia w muzyce i w kontakcie z naturą, był świetnym wspinaczem.

Poznałem go w 1985r. w Czintrach, w czasie przyjęcia przed wymarszem w stronę granicy afgańskiej. Posadzono mnie wówczas obok wysokiego blondyna o jasnoniebieskich, błyszczących oczach, który mówiąc lekko się zacinał. W pewnym momencie zagadał do mnie po polsku.

Spędziliśmy potem wiele tygodni razem. Kiedyś w czasie przemarszu w górach zgubiliśmy drogę i znaleźliśmy się nagle w polu ostrzału sowieckiego. Pamiętam, było gorąco, samo południe, wielki odsłonięty stok pokryty piargami i my dwaj, ścigani strzałami, biegnący od skały do skały przy akompaniamencie eksplozji. Byliśmy również razem w zasadzce na sowiecki konwój na strategicznej drodze w rejonie Salang, gdzie Andy "złapał sowiecką kulę w kamerę".

W czasie pobytu w Nuristanie, w drodze do komendanta Massuda, w połowie października 1987r. Andy został zatrzymany przez miejscowych mudżahedinów i tam widziano go po raz ostatni.

Podobno komendant lokalnej grupy powstańców próbował wyrwać Andemu kamerę i został przez niego znokautowany. Mimo, że incydent załagodzone i pozwolono Andemu pójść dalej, po kilku godzinach zawrócono go z drogi i zatrzymano na noc. W czasie której zamordowano go.

Sprawcy morderstwa należeli do radykalnej partii islamskiej Hezb-e-Islami Gulbuddina Hekmatiara, uważającej dowódców wojskowych należących do innych partii za rywali w walce o władzę. Zazdrośni o sukcesy Massuda, jego renomę, napadali na karawany z zaopatrzeniem dla niego i udających się do niego zachodnich dziennikarzy.

Andy pozostawił żonę Criss Gregory - znanego fotografa i trzyletnią córeczkę noszącą piękne afgańskie imię Szo-noor, co znaczy "królowa światła".

Miał Andy ducha i aparycję wojownika i choć w Afganistanie nie brał broni do ręki - zginął jak żołnierz.

Adam KHAN

/Adam Khan to zaszczytne imię nadane polskiemu bojownikowi o wolność Afganistanu - Jackowi Adamowi Winklerowi, przez mudżahidów - "SST"/.

#### PROCHY ŚWIĘTYCH

Prestiżowe brytyjskie wydawnictwo, Chatto and Windus, opublikowało /w twardej oprawie, cena 14,95 funta/ relację Radka Sikorskiego z wyprawy na trasie od granicy pakistańskiej - Heratu, miasta położonego w Afganistanie, w pobliżu granicy z ZSSR i Iranem. Radek Sikorski odbył tę wyprawę z mudżahidami, sam przebrany za Afgańczyka, jako londyński korespondent i fotoreporter amerykańskiego pisma "National Review". Prowadził on zawodową dokumentację zdarzeń: "Chciałem się przydać", wyznaje. "Nie odpowiadała mi rola jeszcze jednego romantycznego emigranta z Polski, który ginie za przegraną sprawę. Bardzo chciałem walczyć z bronią w rękę, ale szybko zorientowałem się, że jeśli mam rzeczywiście pomagać Afgańczykom, a nie zaspokajać własne egoistyczne zachcianki, to powinienem pisać o ich wojnie".

Książka Radka Sikorskiego nosi tytuł "Dust of the Saints" /"Prochy świętych"/.

Oto kilka cytatów z tej książki, o której wydawca pisze tak: "Nie jest to jeszcze jedna aktualna relacja z wojny afgańskiej; Radek to typ pisarza-łowcy przygód, w tradycji Lorda Byrona, Fitzroya Macleana, Petera Flemina, T.E. Lawrence'a - i w duchu tej właśnie tradycji literackiej należy czytać jego książkę".

. Dlaczego właśnie Herat miał dla mnie taką siłę przyciągającą? Afganistan w ogóle ciągnął mnie do siebie tym samym duchem braterstwa, którego doświadczyłem w Polsce podczas naszej rewolucji i który odnalazłem w mojej pierwszej wyprawie afgańskiej, gdy okazywało się, że w obliczu wspólnego zagrożenia pękają bariery kultur i religii. Moja wyobraźnia była pełna obrazów świetnej przeszłości Heratu i walki o to, co z niej jeszcze pozostało. Miejsce to pociągało mnie również swoją reputacją najniebezpieczniejszego miejsca w Afganistanie.

.. Twarze dzieci i skóra na ich nagich ramionach były białe, zmatowiałe, jakby opruszone mąką - ale dzieci nie wydawały się ranne. Nie widziałem ani śladu krwi - a jednak nie żyły...

Kiedy patrzyłem na zmarłych i umierających przez oko obiektywu, czułem się jak wścibski intruz. Nic nie jest tak prywatne jak śmierć, ta chwila, w której jest się tak bezsilnym, że nie można już nawet uniknąć cudzego wzroku.

... Według danych szacunkowych, do końca roku 1987 zabito ponad milion Afgańczyków. Jeśli mowa o proporcjach sowieckich i afgańskich strat w ludziach, wyraża się to stosunkiem blisko 1:100... Pewnym sygnałem tego, że więzień

został skazany na śmierć, była poprawa diety. Po miesiącu spędzonym w więzieniu, więzień był w dużym stopniu wykrwawiony, gdyż pobierano mu krew systematycznie, aby leczyć nią działaczy partyjnych i żołnierzy rannych w walkach z kontrrewolucją.

.... Sowieci wzięli grzeczność za uległość, ubóstwo za dowód niższości kulturowej, a afgański obyczaj gościnności za przyjaźń... Dokonując inwazji na Afganistan, Sowieci liczyli na sympatię i potulność Afgańczyków - ale grubo się omylili.

/"SAMOSTANOWIENIE"/

SZÓSTY UCHODŹCZY PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ

R Y S Z A R D K A C Z A R O W S K I

Urodził się 26 listopada 1919r. w Białymstoku. x Jest absolwentem tamtejszej szkoły handlowej. Maturę uzyskał już w Anglii /1947/, w Liceum 3-ej Dywizji Strzelców Karpackich, po czym kontynuował edukację w londyńskiej Szkole Handlu Zagranicznego. Blisko czterdzieści lat, do emerytury w roku 1986, przepracował w przemyśle jako księgowy. Mieszka w Londynie, jest żonaty, ma dwie dorosłe córki.

Harcercz. Podobnie jak jego poprzednika na urzędzie, Kazimierza Aleksandra Sabbata, tak i Ryszarda Kaczorowskiego kształtowało moralnie i do działalności publicznej przygotowywało harcerstwo. Od dzieciństwa należał do białostockiej drużyny ZHP. W sierpniu 1939r. został zastępcą Komendanta Pogotowia Harcerskiego w Białymstoku - formacji powołanej przez władze harcerskie do służby pomocniczej na wypadek wojny. Po zajęciu ziem wschodnich przez Sowiety, był zastępcą hufcowego w tajnym hufcu harcerskim, wcielonym /listopad 1939r./ do Szarych Szeregów. Wkrótce potem /styczeń 1940r./ awansował na hufcowego Szarych Szeregów, łącząc tę funkcję z dwiema innymi: zastępcy Komendanta Chorągwi i łącznika między Szarymi Szeregami a Komendantem Związku Walki Zbrojnej. W czerwcu 1940r. został Komendantem Chorągwi Szarych Szeregów.

Od roku 1949 działa w ZHP na obczyźnie, kolejno jako: członek Głównej Kwatery Harcerzy, Naczelnik Harcerzy, Przewodniczący ZHP. Był Komendantem reprezentacji polskiej na Międzynarodowym Jubileuszowym Jamboree 1957 i dwukrotnym Komendantem Światowego Zlotu Harcerstwa - na Monte Casino /1969/ i w Belgii /1982/.

Skazany na śmierć. 17 lipca 1940r. aresztowało go NKWD. Więziony w Białymstoku, a następnie w Mińsku, wyrokiem Najwyższego Sądu Białoruskiej Republiki Sowieckiej skazany został 10 maja 1941 roku na karę śmierci. Sąd Związku Sowieckiego złagodził wyrok: 10 lat łagrów na Kółymie.

Żołnierz. W niespełna rok po wyroku skazującym, Ryszard Kaczorowski, zwolniony z łagru, wstąpił do Armii Polskiej w ZSSR. Służąc w batalionie łączności 2-go Korpusu 3-ej Dywizji Strzelców Karpackich, uczestniczył w kampanii włoskiej.

Jest kawalerem Krzyża Oficerskiego Orderu Polonia Restituta; ponadto odznaczony m.in. Krzyżem Armii Krajowej i Krzyżem Pamiątkowym Monte Cassino.

Działacz polityczny na uchodźstwie. Działał aktywnie jako członek ZG SPK, Zarządu Zjednoczenia Polskiego, Rady POSKu. Jest członkiem Rady Polskiej Macierzy Szkolnej i Rady Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej. Do Rady Koordynacyjnej Polonii Wolnego Świata należy od jej powstania.

W marcu 1986r. powołany został do Rady Narodowej RP jako nominat Prezydenta RP. Minister spraw krajowych w gabinecie prof. E.Szczepanika. Sekretarz honorowy Funduszu Pomocy Krajowi.

Zarządzeniem z dnia 25 stycznia 1988r. /Dz.U. RP nr 1/1988/ wyznaczony na następcę Prezydenta RP przez Prezydenta Kazimierza Sabbata.

Pieczeń. sztandar. konstytucja. Oto insygnia legalnej władzy Prezydenta RP. dziś przynależne Ryszardowi Kaczorowskiemu: pieczęć prezydencka; czerwona flaga z białym orłem. przed wojną zdobiąca Pałac Prezydencki w Warszawie, a dziś wejście na schody w "Zamku" przy Eaton Place 43; oraz oryginał Konstytucji

z 1935 roku. Jedynie na mocy tego dokumentu możliwe jest dokonanie legalnej nominacji następcy prezydenta.

Prezydent Ryszard Kaczorowski, zaprzysiężony tuż przed północą w dniu śmierci Kazimierza Sabbata, umieścił już nazwisko swojego następcy w zapieczętowanej kopercie.

Rząd RP za Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego ma szanse doczekać się owoców swojej czterdziestoparoletniej, trudnej, ale niestrudzonej, walki z komunistyczną barbarią w kraju. Coraz liczniejsze, i coraz głośniejsze są oznaki szacunku dla Rządu RP na Uchodźstwie ze strony wielkich autorytetów moralnych i mężów stanu wolnego świata. Na krótko przed śmiercią, Prezydent Sabbat przyjęty był na audiencji przez Ojca Świętego, co - jak stwierdził w mowie nad trumną Zmarłego jego następcą na fotelu prezydenckim - było "ukoronowaniem Jego Służby Bogu i Polsce". Potem podejmowany był - i to nie jako osoba prywatna, lecz jako Prezydent RP na Uchodźstwie - przez osobistości polityczne USA.

O kierunku zmian optyki świata wobec Rządu RP niech świadczy głos prof. Normana Daviesa /"Observer", 6 sierpnia 1989/:

"W 50 lat po wybuchu II wojny światowej należy przypomnieć społeczeństwu brytyjskiemu, że Polska była, na równi z Francją, naszym najbliższym sojusznikiem. Polski rząd w Londynie stanowił reprezentację nie mniej legalną xx niż Wolni Francuzi, którzy padli ofiarą tej samej faszystowskiej okupacji. Polski rząd miał wszelkie prawo spodziewać się powrotu do kraju w aureoli bohaterów - tak jak de Gaulle - i udziału w przywróconej demokracji. Fakt, że mu tego prawa odmówiono, możemy przypisać wyłącznie naszym układowi z tym najbardziej reprezentatywnym z przywódców - Józefem Stalinem.

Dziś widać wyraźnie, że ocena zakusów Stalina przez polski rząd była słuszna, natomiast nasz rząd popełnił grubą omyłkę. W tej sytuacji, rząd polski zachował się przynajmniej honorowo. Nasz rząd zachował się haniebnie. /.../

Istotnie, trwająca od blisko 50 lat banicję rządu polskiego otacza aura nierzeczywistości, jakby z Alicji w Krainie Czarów. Nie wątpię jednak, że identyczna aura nierzeczywistości otaczałaby rząd Churchilla i Attlee'go, gdyby w roku 1940 /co brano pod uwagę/ przyszło im opuścić Londyn i przenieść się do Ottawy i gdyby drogę powrotu zagrażała im i ich następcom banda uzurpatorów pod wezwaniem Stalina".

j.k.

+ Życiorys Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego na podstawie "RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ" /nr 7, 15 lipca - 15 sierpnia 1989/.

++ Bardziej. Działał bowiem na podstawie obowiązującej konstytucji, w przeciwieństwie do Wolnych Francuzów, którzy swą działalność opierali o ciała poza-konstytucyjne.

#### PARLAMENT POLSKIEJ EMIGRACJI

Rozmowa z Zygmuntem Szadkowskim, przewodniczącym Rady Narodowej RP

SAMOSTANOWIENIE: Wybory do Rady Narodowej odbyły się dwa dni temu. Czy są już znane jakieś wyniki?

ZYGMUNT SZADKOWSKI: Mogę powiedzieć tylko, że w wyborach wzięło udział więcej osób aniżeli pięć lat temu.

SST: Pięć lat temu było to dziewięć tysięcy osób.

ZSZ: Więc jest to liczba większa niż dziewięć tysięcy, ale dokładnych danych nie mam, ponieważ nie otrzymałem ich jeszcze ze wszystkich obwodów. Poza tym wybory te charakteryzowały się jeszcze tym, że bardzo dużo osób wzięło w nich udział po raz pierwszy i tym samym włączyło się w nurt politycznego działania.

SST: Rozumiem, że pan prezes ma na myśli kandydatów.

ZSZ: Tak, ale kandydaci pociągnęli za sobą wyborców. Stąd liczba wyborców jest większa od tej sprzed pięciu lat. Normalnie powinno być inaczej, ponieważ ze starożytności ubyło w ciągu tych pięciu lat kilka tysięcy uczestników poprzedniego głosowania.

SST: Patrząc na listy kandydatów zauważyłem, że największą grupę stanowią ludzie urodzeni około pierwszej wojny światowej.

Wróćmy jednak do spraw emigracji. Zauważyłem też, że na listach kandydatów znalazło się trochę osób urodzonych już po wojnie, czyli tych, z którymi ludzie



w tej chwili najaktywniejsi w kraju mogą odczuwać więź POKOLENIOWĄ. Jacy to są ludzie? Czy są to ludzie urodzeni tutaj na emigracji czy też osoby przybyłe w ostatnich latach z kraju?

ZSZ: Raczej są to osoby urodzone na emigracji, jakkolwiek są wśród nich ludzie, którzy przybyli z kraju, ale niekoniecznie w ostatnich latach. Są nawet tacy, którzy przybyli piętnaście czy dwadzieścia lat temu. Ale młode pokolenie brało udział w wyborach. W innym wypadku kandydaci z tego pokolenia nie byłiby wybrani, ponieważ są to ludzie znani przede wszystkim w swoim środowisku.

SST: W jaki sposób przebiega proces wyłaniania się kandydatów? Kto kandyduje i dlaczego? Czy ci ludzie reprezentują jakieś partie, środowiska, czy są to raczej indywidualni działacze?

ZSZ: Ordynacja wyborcza zezwala na kandydowanie każdemu Polakowi, stojącemu na gruncie zasad walki o suwerenność. Ludzie ci muszą być przygotowani do pracy zgodnej z zasadami politycznej emigracji. Pierwszą zasadą jest walka o niepodległość, drugą - stwierdzenie, że obecna władza w kraju sprawowana jest przez ludzi niepowołanych. Wobec tego, emigrant polityczny nie jest w opozycji do tej władzy, ale tej władzy, czy ludzi ją sprawujących, nie uznaje za reprezentantów państwa ani też jako reprezentantów narodu polskiego. Kto jeszcze jest kandydatem? Ugrupowania polityczne, które mają swoją sieć organizacyjną na pewno wystawiły swoich kandydatów, ale nie kandydują oni pod szyldem takiego czy innego stronnictwa. Są to znani działacze emigracyjni. Mogę powiedzieć, że wybrano osoby, które w tej chwili są czynnie zaangażowane w swoich środowiskach.

SST: Czy inny jest stosunek do spraw obywatelstwa ludzi, którzy opuścili Polskę jako obywatele Rzeczypospolitej Polskiej, w związku z czym dalej czują się jej obywatelami, a inny tych, którzy byli obywatelami PRL-u?

ZSZ: Nie zetknąłem się z tymi problemami. Natomiast powiedziałbym co innego. Są dwie formy obywatelstwa polskiego na emigracji. Obywatelstwo formalne i wynikające z poczucia więzi z narodem, z patriotyzmu. Niestety, wielu młodych emigrantów z najnowszej fali powiada: "Poszedłem stamtąd raz na zawsze, zrywam, szukam innego miejsca, w którym chcę zakorzenie się na stałe". Mnie się wydaje, że tutaj jest wielkie niebezpieczeństwo i wielka szkoda dla narodu polskiego. Ubywa wielu fachowców, a jeżeli ubędzie kilkadziesiąt tysięcy ludzi wysoko wykwalifikowanych, to za ileś lat tego pokolenia będzie brakowało w życiu gospodarczym narodu. Powiem więcej: niewielu z tych, którzy z goryczą i z żalem wyjeżdżają z własnej ojczyzny, będzie użytecznymi dla Polski. Nie mając powiązania z krajem, nie będą się oni chcieli włączyć w sprawy i interesy narodu. A to właśnie istnieje u innych narodów - Niemców, Irlandczyków, Włochów, Greków, nie mówiąc o Ukraińcach, którzy mają świetnie zorganizowaną emigrację. Zbudowana jest ona w poczuciu więzi narodowej, historycznej i kulturalnej.

SST: Rozmawiając z różnymi działaczami emigracyjnymi odniosłem wrażenie, że są dwa sposoby patrzenia na rolę i zadania emigracji politycznej i jej instytucji, tu w Londynie.

Jeden punkt widzenia to jest patrzenie na emigrację jako na depozytariusza pewnych symboli, najogólniej rozumianych wartości. Ta rola trwa przez te czterdzieści kilka lat, emigracja przechowuje te wartości i stanowi symbol ciągłości niepodległej państwowości. Ta rola skończy się, jeśli w Polsce zostanie wybrany w wolnych wyborach parlament i będzie on sprawował rzeczywistą władzę. Wtedy emigracja przekaże te symbole do kraju.

Natomiast drugi sposób patrzenia na rolę emigracji, to stwierdzenie, że emigracja powinna być nie tylko depozytariuszem i symbolem, ale, że powinna starać się odgrywać aktywną rolę zarówno w stosunku do kraju jak i do innych emigracji, a także wpływać na politykę międzynarodową, na politykę krajów osiedlenia. Panie prezesie, jakby pan widział miejsce Rady Narodowej w tych dwóch możliwych układach na emigracji?

ZSZ: Odpowiedź jest bardzo prosta. Rada Narodowa sama żadnej polityki nie prowadzi. To nie jest Rząd. Rada Narodowa ma określone zadania. Poza szeregiem działań natury prawnej, Rada Narodowa udziela absolutorium na działalność polityczną i gospodarczą, czuwa nad prawnym wykonaniem budżetu i bez jej zgody

nie mogą być przez Rząd powzięte żadnej zobowiązania finansowe. Rada Narodowa ma możliwość uchwalenia votum nieufności albo dla któregoś z kierowników resortów zasiadających w Rządzie, albo dla całego Rządu. Polska emigracja polityczna jest specyficzna. Na Zachodzie zostali nie tylko oficerowie i ziemianie, ale również chłopci i robotnicy, którzy nie wrócili ze względów politycznych. I to było zaskoczeniem dla państw zachodnich. W tej chwili wielu z nich przeszło z pozycji emigranta politycznego na pozycję człowieka, który się zakorzenił w miejscowym środowisku. Nawet nie bardzo wszedł w to środowisko, ale raczej wyłączył się ze środowiska polskiego. Ten kontakt z polskim środowiskiem zostawił od święta, od przypadku do przypadku, bez poczucia większego związku. Obserwujemy takie zjawisko, że ludzie przychodzą do polskich organizacji już po przejściu na emeryturę, wtedy kiedy zabrakło im środowiska, do którego przywykli. W Stowarzyszeniach Polskich Kombatantów ilość członków jeszcze nie maleje, dlatego, że przychodzą tacy, którzy przez czterdzieści lat nie brali udziału w życiu politycznym emigracji. Osiągają wiek emerytalny i wracają do środowiska polskiego.

Myślę, że udział emigracji w życiu kraju przejawia się różnie, zależnie od sytuacji, w jakiej w danej chwili się znajdujemy. Jeżeli chodzi o Radę Narodową, o jej stosunek do kraju, to wielokrotnie zajmowała ona stanowiska w związku z wydarzeniami w kraju, wprowadzeniem stanu wojennego czy aresztowaniami za działalność polityczną, sądami doraźnymi, z działalnością tak zwanych kolegiów. Obok tego Rada Narodowa poprzez swój stosunek do ludzi przyjeżdżających z kraju, wykazuje zrozumienie wydarzeń w kraju i zrozumienie działalności tych osób, które tu przychodzą. Między innymi wszyscy działacze przybyli z kraju, którzy zgłosili się i brali udział w powiedzeniach Rady, dostali prawo głosu, wypowiedzenia się w sprawach dotyczących ich działalności w tych środowiskach, z których się wywodzą lub o których mają coś do powiedzenia. Na tym polega działalność Rady Narodowej.

Natomiast jeśli chodzi o szczegóły tego, jak emigracja pomaga krajowi, dowie się pan raczej ze środowiska rządowego albo też od organizacji społecznych, które także w swoich wystąpieniach przyczyniły się dla dobra kraju. Dla przykładu chcę tu powiedzieć, że kilkanaście lat temu pojawiła się publiczna teza, że broń atomowa na wypadek ataku sowieckiego na Zachód, zostanie użyta na węzły komunikacyjne na terytorium Polski. Czy pan sobie może wyobrazić dyskusowanie takiego problemu na obradach NATO? Dopiero jeśli w ciągu kilku dni Związek Sowiecki nie opamięta się i nie zaniecha swojego marszu na zachód, to broń atomowa zostanie też użyta na terytorium Związku Sowieckiego!

Muszę powiedzieć, że duży rezultat dało wystąpienie Stowarzyszenia Kombatantów Polskich w stosunku do prezydenta Stanów Zjednoczonych - Nixona i premiera Wielkiej Brytanii - Wilsona. Natychmiast przyszły depeche z zaprzeczeniami, jakoby to było nieporozumienie. Tamta sprawa pozostaje zupełnie nieznaną.

SST: Wróćmy do Rady Narodowej. Powiedział pan o relacji między Radą a Rządem. A jaka jest relacja między Radą a Prezydentem?

ZSZ: Jest tu jeden ważny przepis. Prezydent nie ma odpowiedzialności politycznej. Natomiast Rada Narodowa uchwała Prezydentowi budżet. Oczywiście odbywa się to w ramach budżetu przedstawionego Radzie Narodowej przez Rząd. Co prawda, jeśli Rada Narodowa nie odpowiada Prezydentowi, ten może ją rozwiązać. Ale w warunkach emigracyjnych rozwiązanie Rady Narodowej przez Prezydenta to jest koniec tego systemu, który tu panuje. Rozwiązanie Rady to nie to samo, co w warunkach normalnej państwowości rozwiązanie Sejmu i zarządzenie nowych wyborów. Tu takich wyborów nie przeprowadzi się. Rząd jest Rządem koalicyjnym, powstałym w wyniku porozumienia wszystkich stronnictw politycznych, stojących na płaszczyźnie walki o wolność.

Jest jeszcze przepis mówiący, że Rada Narodowa może decydować o opróżnieniu Urzędu Prezydenta, a to w wypadku, jeżeli nie może on spełniać swoich funkcji.

SST: Kształt organizacyjny Rady Narodowej oraz fakt, że jest ona wybierana tutaj przez społeczeństwo polskie, przez emigrację polską w Wielkiej Brytanii sprawia, że Polacy zamieszkali w Wielkiej Brytanii są jakby uprzywilejowani w stosunku do emigracji zamieszkałej w innych krajach, która tylko powołuje oddziały Rady Narodowej, nie mające takiego politycznego znaczenia jak Rada

w Wielkiej Brytanii.

Miało to swoje uzasadnienie w okresie bezpośrednio powojennym, kiedy najpoważniejsza część emigracji polskiej, emigracji wojennej, znalazła się właśnie tutaj, ale czy taki układ ma dalej uzasadnienie. Obecnie znacznie więcej Polaków emigruje do Niemiec Zachodnich i Stanów Zjednoczonych.

ZSZ: To jest raczej sprawa gospodarczo-praktyczna, ponieważ ilość wszystkich członków Rady, nawet tej formowanej w chwili obecnej przewyższa ilość członków Rady z Wielkiej Brytanii. Ale w Wielkiej Brytanii ponad 50% członków Rady stanowią ludzie reprezentujący główne kierunki polskiej myśli politycznej.

Cztery razy w roku odbywają się posiedzenia Rady Narodowej. Jeżeli członków Rady z innych krajów będzie stać na to, aby przyjechać do Wielkiej Brytanii, to nic nie stoi na przeszkodzie, aby brali oni udział w posiedzeniach. Posiedzenia odbywają się co trzy miesiące, a z góry wiadomo o dokładnych terminach rozpoczęcia i trwania posiedzeń. Ile razy przyjeżdża ktoś na posiedzenie, to zawsze korzysta z wszystkich uprawnień członka Rady, przysługujących mieszkańcom Wielkiej Brytanii. No tak, ale może pan powiedzieć, że jeżeli jeden mieszka na przykład w Nowym Jorku, a drugi w Szkocji... Bywają przypadki, że i jeden i drugi uczestniczy we wszystkich czterech posiedzeniach w roku. Była próba załatwienia sprawy pokrywania kosztów przez środowisko, z którego pochodzi członek Rady. Niestety, te czynniki, które deklarowały zorganizowanie tej pomocy, same tego nie zrobiły. To co jest - jest niedoskonałe. Koncepcja polityczna jest taka, że Prezydent musi mieszkać w Londynie, a nie w Waszyngtonie, co sprawia, że Polacy mieszkający w Wielkiej Brytanii są w pozycji uprzywilejowanej w stosunku do innych emigrantów. Jeżeli zostanie uchwalone, że Rada Rzeczypospolitej ma być przeniesiona do innego kraju, to zostanie przeniesiona. Osobiście oponowałbym, ponieważ żaden z krajów nie gwarantuje takiej swobody działania, jaka istnieje w Wielkiej Brytanii. Od wieków, wielu uchodźców politycznych znajdowało tu schronienie. W 1945 roku Moskwa i Warszawa interweniowały u rządu brytyjskiego, aby ten zakazał działalności rządowi polskiemu w Londynie. Rząd brytyjski odpowiedział, że tego nie uczyni.

SST: Jakiś czas temu grupa "Samostanowienie" wystąpiła z koncepcją powołania krajowego oddziału Rady Narodowej i udało jej się nawet zdobyć pozytywne opinie od niektórych innych ugrupowań niepodległościowych w kraju. Obecnie ta sprawa w związku ze zmieniającą się bardzo szybko sytuacją w kraju musiała ulec zawieszeniu. Z drugiej strony spotkaliśmy się także z koncepcjami, żeby nie powoływać oddziału w kraju, ale żeby na przykład Prezydent mianował spośród krajowych działaczy niepodległościowych członków Rady Narodowej tutaj w Londynie. Co pan prezes sądzi o takich koncepcjach?

ZSZ: Sprawa jest bardzo złożona i trudna do zaopiniowania. Doceniam chęć zaangażowania politycznego, a zarazem jestem przekonany, że może to wywołać nieobliczalne skutki. Nie wyobrażam sobie, aby mógł powstać oddział Rady w kraju. Założymy jednak, że został on powołany na zasadach podobnych, jak nasz w Londynie. I ten oddział reprezentuje przekonania polityczne sprzeczne z przekonaniem politycznymi oficjalnych czynników w Warszawie. Wtedy niżej podpisany pakuje walizki. Jeżeli może powstać w kraju taki działający oddział, to znaczy, że jest swoboda, panuje demokracja i Rada jest zaaprobowana przez władze. W takim wypadku zaprzestaną działalności politycznej na emigracji.

SST: Nie bardzo bym się zgodził z tym ostatnim stwierdzeniem. Władza komunistyczna może zgadzać się na bardzo wiele rzeczy, co jeszcze nie znaczy, że je aprobuje.

ZSZ: Ale każde rozluźnienie należy powitać z radością. Jeśli dziś są lepsze warunki niż wczoraj, choćby egzystencjalne a nie materialne, jest to już jakiś margines swobód i tę rzecz trzeba zrozumieć.

SST: Jak pan prezes ocenia ostatnie wydarzenia w kraju i co chciałby pan powiedzieć tym ludziom, którzy czytają "Samostanowienie" i będą czytali ten wywiad?

ZSZ: Chciałbym powiedzieć, że jeżeli chodzi o działalność w kraju, to nie podjąłbym się obmyślenia sposobu działania rodaków. To jest rzecz, która tam, na miejscu powinna być zdecydowana.

Każdemu kto działa w kraju na rzecz suwerenności Polski życzę sukcesu. Życzę wam, ażeby na drodze do suwerenności nie było takich makabr, jakich byliśmy świadkami w przeszłości. Prawdziwych Polaków, którzy nie szczędzili swych sił w walce o utrzymanie niezawisłości, rzekomo polskie sądy po ich powrocie do kraju skazywały na karę śmierci. I cóż z tego, że dzisiaj, spadkobiercy tamtych władców podejmują decyzję o rehabilitacji? Co ta rehabilitacja znaczy? Ona niczego nie zmienia. Ci, którzy są współodpowiedzialni za to co się stało. Powini nie rehabilitować, tylko jak najszybciej spakować manatki i odejść. To oczywiście życzenia pod adresem władz PZPR.

Miejmy nadzieję, że dzień wolności mimo wszystko przybliży się i wreszcie gospodarzem ziemi polskiej będzie naród polski.

SST: Dziękuję bardzo za rozmowę.

maj 1989

Rozmawiał:

Tomasz BORKOWSKI

### RACHUNKI PANA MOSKALA

Prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej Edward Moskal opublikował w "NOWYM MIENNIKU" z 6 października br. artykuł "Przyjść z pomocą Narodowi Polskiemu", napisany w oparciu o przemówienie wygłoszone w Londynie do Polonii świata. Edward Moskal napisał m.in.: "Absolutna większość społeczeństwa poparła niezależnych kandydatów, wysuniętych przez Komitet Obywatelski Solidarności. /.../ Wynik wyorów wykazał także, że społeczeństwo uznało za swoją reprezentację Solidarność i stworzony przez nią Komitet Obywatelski, natomiast odmówiło obecnie prawa do występowania w jego imieniu licznym grupom opozycyjnym, które nie zdobyły ani jednego mandatu ani do Sejmu, ani do Senatu".

P. Moskal ma najwyraźniej kłopoty z liczeniem, bowiem za kandydatami Komitetu Obywatelskiego opowiedziało się absolutna większość głosujących, a nie całego społeczeństwa. Edward Moska nie dostrzegł 38% społeczeństwa, które nie wzięło udziału w głosowaniu. Trudno się oczywiście upierać, że całe 38% stanowili zwolennicy antyokragłostołowej opozycji. Ale też nie wszyscy głosujący na kandydatów KO "Solidarność" byli zwolennikami linii Wałęsy. Głosowano przeciwko komunistom, a skuteczny okazał się argument, by w wyborach większościowych nie rozstrzelić głosów na kandydatów innych niż KO.

Niepoważnie wygląda argument Moskala, że społeczeństwo nie wybrało posłów i senatorów z innych grup opozycyjnych, zważywszy, że większość z tych grup nie wzięła udziału w wyborach, a nawet nawoływała do ich bojkotu. Natomiast część ugodowych grup opozycyjnych wystawiła swoich kandydatów na listach Komitetu Obywatelskiego i weszła do parlamentu /np. PPS Lipskiego i Ruch Młodej Polski/.

Interesujące, czy Edward Moskal równie optymistycznie oceniłby wyniki wyborów uzupełniających w woj. piotrkowskim, gdzie kandydat Komitetu Obywatelskiego nec. Andrzejewski otrzymał blisko dwie trzecie głosów. Problem w tym, że frekwencja wyniosła 14.6% czyli za kandydatem komitetu opowiedziało się 9,5% społeczeństwa piotrkowskiego. W porównaniu z 2,4% osiągniętymi przez kandydata PZPR jest to wynik nie najgorszy, ale trudno na jego podstawie twierdzić, że "społeczeństwo uznało za swoją reprezentację Solidarność".

Moskal kierował się szlachetną intencją, pragnąc uzasadnić konieczność niesienia Polsce pomocy przez Polonię. Najlepsze jednak intencje nie usprawiedliwiają rozmijania się z prawdą. Działacze polonijni powinni mieć świadomość, że sytuacja w Polsce nie jest tak prosta i oczywista, jak to z amerykańskiej perspektywy może się wydawać.

/tb/

/"SAMOSTANOWIENIE"/

"Gdyby Polskę napadli Tatarzy, a zrozpaczona ludność wraz z dobytkiem musiała chronić się w murach świątyń, to wtedy zrozumiałbym prawo Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego do wywieszania transparentu na kościele, który stał się z konieczności twierdzą" - wywodzi w 55 nr "GAZETY WYBORCZEJ" z 6 marca br. Krzysztof Sliwiński. Dziś jednak każdy podmiot polityczny może działać sobie na własny szczer bez potrzeby podpierania się autorytetem Kościoła. Dlatego "błagam księży proboszczów i księży biskupów - kontynuuje Sliwiński - aby chronili i mury świątyń przed profanacją i Kościół przed politycznymi podziałami".

I nic tu nie ma do rzeczy szlachetny cel ZChN-u, które "dla zagwarantowania bezpieczeństwa naszego kraju w obliczu jednoczenia się Niemiec" zorganizowało zbieranie podpisów pod adresowaną do czterech mocarstw petycją domagającą się "uczestnictwa przedstawicieli Rzeczypospolitej Polskiej w konferencji międzynarodowej, która określi zasady przyszłego bezpieczeństwa europejskiego". Cel nawet szlachetny nie uświęca przecież użytych do jego osiągnięcia środków.

Wypadałoby mi więc zgodzić się z Krzysztofem Sliwińskim, gdyby nie jedno ale. Co mianowicie zrobiłby nasz surowy krytyk angażowania się Kościoła w politykę, gdyby zaangażowanie to dotyczyło sił politycznych ideowo Sliwińskiemu bliższych? Ciekawy jestem, jak zareagowałyby np. w przypadku poparcia ambony dla Komitetów Obywatelskich? I nie jest to wcale retoryczne pytanie - takie apele miały miejsce, choćby w ostatnią /17 marca/ niedzielę.

Sądzę, że odpowiedź na to pytanie nie powinna być zbyt trudna. Krzysztof Sliwiński miał bowiem wielokrotnie okazję do zaprotestowania przeciwko notorycznemu nadużywaniu Kościoła w kampanii politycznej, choćby w czerwcowych wyborach. Wystarczy tu przypomnieć drastyczny przypadek szefa Sliwińskiego z "GAZETY WYBORCZEJ" Adama Michnika, który w walce z Kazimierzem Switonem, choć niekatalogicznie, bez skrępowania posługiwał się autorytetem Kościoła - patrz słynne zdjęcie Adama Michnika pokazującego "zajączka" podczas pielgrzymki do Piekar Śląskich /"Tygodnik Solidarność" Nr 2, str. 15 z 19 czerwca 1989r./.

O ile wiem, Krzysztof Sliwiński nie protestował przeciwko profanacji, że użyję jego poetyki, uroczystości religijnej tej rangi co piekarska pielgrzymka. Jeśli się mylę, to go bardzo przepraszam, ale nigdzie a zwłaszcza w "GAZECIE WYBORCZEJ" z tamtych dni, takiego protestu nie znalazłem. Mam więc prawo sądzić, że Krzysztofowi Sliwińskiemu łatwiej dostrzec źdźbło w cudzym oku niż belkę we własnym.

Armand CZARNO-PODNIEBIENICZYK

\*\*\*

W "TYGODNIKU SOLIDARNOŚĆ" nr 1(68) z 5 stycznia b.r. Jacek Węgr w zatytułowanym "Radziecki? Sowiecki?" artykule zastanawia się nad genezą pojęcia "radziecki" (w odniesieniu do wschodniego mocarstwa) w języku polskim.

Autor zwraca uwagę, że praktycznie wszystkie kraje europejskie, tym nasi najbliżsi sąsiedzi, Czesi, Węgrzy, Skandynawowie używają określeń opartych na rosyjskim oryginale, a więc pochodzących od słów radziecki (rada). I dochodzi do wniosku, że zdecydowała o takim a nie innym wyborze przymiotnika określającego "starszego brata" zdecydowała wyłącznie rzeczywistość polityczna. Myślę, że warto przypomnieć Czytelnikom (patrz "N" nr 80 z sierpnia 1988 r. "Komentarz Członek Redakcji Najbardziej Arkadyjskiego") jak to swego czasu do kariery słowa "radziecki" przyczynił się ówczesny dyrektor "RWE" Jan Nowak w muszając na swoich współpracownikach stosowanie tego pojęcia.

Smakowita ta historia opisana została w jego wspomnieniach "Polska oddali (ODNOWA, Londyn 1988) w tomie drugim na str. 193-6, gdzie odczyta zainteresowanych.

Rozmowa z Kazimierasem Uoką

przedruk: "UNCAPTIVE MINDS"  
/styczeń-luty 1990/

Kazimieras Uoka stoi na czele Związku Robotników Litwy, założonym 1 lipca 1989 r. Pismo "UNCAPTIVE MINDS" przeprowadziło z nim rozmowę w Waszyngtonie, co miało miejsce w listopadzie 1989r., kiedy to Uoka przemawiał na konwencji AFL-CIO.

- Jak to się stało, że zaczął Pan działać w ruchu robotniczym?

- Będąc już nastolatkiem brałem udział w ruchu narodowościowym. W 1982r. przeniósłem się do ruchu robotniczego. Po powstaniu "Solidarności" w Polsce, w roku 1980, robotnicy w ZSRR zaczęli dochodzić do wniosku, że czas założyć podobne ugrupowanie.

- Co Pan rozumie pod słowami: "przeniósłem się z ruchu narodowościowego do robotniczego"?

- Na Litwie każdy ruch nieoficjalny jest z konieczności ruchem narodowościowym, albowiem tragedia roku 1940, kiedy to nasz kraj najechali okupanci sowieccy, zapadła głęboko w nasze serca. Dopiero począwszy od roku 1988 zaczęły formować się rozmaite ruchy, czy to kobiece, czy robotnicze, wszystkie pod "parasolem" Sajudisu.

- Działa Pan w ruchu robotniczym nie tylko na Litwie, ale również w innych republikach. Proszę nam powiedzieć o genezie współczesnego ruchu robotniczego w ZSRR, które to państwo nie widziało prawdziwej działalności robotniczej od roku 1920.

- Byłem na początku robotnikiem, jednak ukończyłem kursy korespondencyjne na poziomie uniwersyteckim. Pisałem pracę dyplomową z zakresu socjologii, jednocześnie zbierając informacje o robotnikach aktywnych politycznie. Znalazłem się w grupie pięciu działaczy spotykających się na seminariach w Wilnie, Moskwie i innych miastach. W 1986r. zaczęliśmy się zastanawiać, jak zorganizować ruch robotników, albowiem zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że taki ruch będzie w stanie stać się najpoważniejszym ruchem w ZSRR. Nie mówię tutaj o Litwie - ponieważ nie sądzę, żeby ruch robotniczy stał się u nas kiedykolwiek ugrupowaniem znaczącym - tylko o Rosji.

- Z których republik pochodzą członkowie Pańskiej grupy?

- Z Łotwy, Ukrainy i Rosji /Moskwa oraz Leningrad/. Naszą działalność zaczęliśmy od oficjalnych publikacji prasowych. W tamtych czasach udawało się nam publikować artykuły dotyczące rozmaitych zagadnień związanych z pracą - wykorzystując nieuwagę cenzorów: te artykuły były prawdziwsze aniżeli inne, ukazujące się na łamach prasy oficjalnej. Następnie, w roku 1985, stanęliśmy w obronie pewnego robotnika z Rygi, którego cztery lata wcześniej niesprawiedliwie zwolniono z pracy. Po odnalezieniu osób mogących potwierdzić związane z tym zdarzeniem fakty, zamieściliśmy w "Komsomolskiej Prawdzie" długi artykuł broniący zwolnionego. W odpowiedzi redakcja otrzymała wiele listów od czytelników z całego ZSRR. Udało się nam przejrzeć te listy i spisać adresy ich nadawców. W roku 1986 zorganizowaliśmy konferencję, na którą zaprosiliśmy wszystkich autorów. Przybyli z 64 miast. Był to początek większego ruchu, był to również pierwszy dzień "szkoły" dla pokolenia działaczy robotniczych.

- Czy wszystko to działo się całkowicie poza zasięgiem obowiązującego ustawodawstwa, w podziemiu?

- Nie, niezupełnie. Udało się nam wynająć w Moskwie salę konferencyjną oraz hotel, choć nie występowaliśmy wtedy pod własną nazwą.

Obecnie, wszystkie z 50 osób, które uczestniczyły w tamtej konferencji, są, niemal bez wyjątku, przywódcami ruchów robotniczych w swoich rodzinnych miastach. Na przykład Siergiej Jegorow stoi na czele Związku Robotników Łotwy, Iliasz Bliński jest ważnym działaczem Moskiewskiego Klubu Robotników, ja zaś przewodniczę Związkowi Robotników Litwy. W miarę rozwoju ruchu robotniczego, wysuwają się na czoło ludzie, o których nigdy wcześniej nie słyszeliśmy. Zeszłego lata doprowadziliśmy do spotkania wszystkich nowych, znaczących postaci w tym

ruchu oraz do podpisania porozumienia. Nie sformowaliśmy jeszcze jednolitego ruchu politycznego, ale założyliśmy komitet, który zbiera się co 2-4 miesiące, żeby dyskutować nad koordynacją naszej działalności, oraz nad rozbudowaniem czegoś w rodzaju sieci łączności, po to, by lokalne grupy robotników wysuwały żądania polityczne, nie zaś walczyły ze sobą o większy przydział kiełbasy. Te spotkania były udaną inicjatywą: komitety strajkowe, które powstały tego lata, wysuwając rozmaite żądania, obecnie wysuwają żądania o charakterze politycznym, w tym także dotyczące zniesienia artykułu szóstego konstytucji radzieckiej, dotyczącego kierowniczej roli partii. Wszyscy dziś protestują przeciw temu artykułowi. Ruch robotniczy nie pozwala komunistycznej partii ZSRR występować w imieniu robotników - mówimy własnym głosem, wyrażamy własne opinie, będziemy mówić wyłącznie za siebie.

Z drugiej jednak strony, stoi przed nami wiele problemów. Każdy, w tym również działacze ruchów narodowościowych w krajach bałtyckich, rozumie, że wszystko zależy od rozwoju sytuacji w Rosji. Jest to ogromny kraj, gdzie konflikty wychodzą na powierzchnię w rozmaitych miejscach, między którymi zachodzą wielkie różnice i gdzie na scenę wydarzeń wyłaniają się wciąż nowi ludzie o zróżnicowanym zapleczu społecznym i o rozmaitych poglądach. Nasz ruch robotników nie jest jedyną niezależną inicjatywą. Należą doń na przykład osoby, które myślą tak jak komuniści - tyle, że stoją poza oficjalnymi związkami zawodowymi i tworzą opozycję wobec aparatu. Są więc socjaldemokraci, anarchiści, "zieloni", oraz ci, którzy pragną walczyć z systemem, po prostu dlatego, że już nie potrafią żyć tak jak żyli dotychczas. Nie mogę określić, kiedy nastąpi konsolidacja rozmaitych orientacji: jak dotychczas zacierają one w tym samym kierunku, pozostając ze sobą w stosunkowo niezłych układach. Jednoczy nas nienawiść do aparatu oraz nasza wspólna troska o przyszłość ludzi mieszkających w Europie Wschodniej oraz za Uralem. Zdajemy sobie sprawę z tego, iż stoimy na krawędzi przepaści, i że nie wiemy, co tworzymy. Nie możemy jednak powrócić do takiego życia jak poprzednio - jest to nader jasne dla każdego.

- Macie więc komitet koordynacyjny - a może coś, co znajduje się na wyższym szczeblu organizacyjnym...?

- Nie, jest to po prostu komitet koordynacyjny. Związki zawodowe powstają jak grzyby po deszczu w różnych rejonach kraju. Wspomniałem już o Związku Robotników Łotwy i Litwy, są w toku przygotowania do zorganizowania zjazdu założycielskiego Związku Robotników Białorusi. 18 listopada 1989r. ma odbyć się zjazd założycielski Nowodnieckiego Związku Robotników, w innych częściach ZSRR działają aktywnie komitety strajkowe oraz kluby robotnicze. Istnieje już wiele komitetów strajkowych, które - choć jeszcze nie wzywały do strajków - prowadzą rozmowy z dyrektorami zakładów pracy i oczekują na dalszy rozwój wypadków.

- Jak się ze sobą porozumiewacie? Nie macie telefonów, telefaksów... Czy wysyłacie emisariuszy na zebrania robotnicze oraz do strajkujących w innych republikach i rejonach ZSRR?

- Porozumiewamy się w rozmaite sposoby, używamy telefonów i wysyłamy emisariuszy. Władze wciąż stwarzają nam jednak przeszkody. Trzy dni temu jeden z naszych przedstawicieli został zawrócony z pokładu samolotu lecącego do Workuty, ponieważ miał przy sobie megafon przeznaczony dla strajkujących tam robotników. Nasze rozmowy telefoniczne są podsłuchiwane. Nie jesteśmy jednak bezsilni: ja sam, oraz kilkunastu innych działaczy, jesteśmy członkami Rady Delegatów Ludowych ZSRR. Dzięki temu mamy wiele przywilejów, zaś władze nie śmiały nas prześladować. Możemy podróżować do woli i mieć przy sobie co tylko chcemy.

- Czy wydajecie gazetę?

- Tak. "Wjestnik raboczewo dwiżenija" /"Wiadomości Ruchu Robotników"/. Nie mogę zdradzić, gdzie go wydajemy, ponieważ pismo to wciąż ukazuje się w podziemiu, mogę jedynie wyjawiać, że rozchodzi się ono obecnie w 70 miastach - od Litwy po daleki Wschód. W gazecie tej znajdują się informacje o każdym konflikcie robotniczym w ZSRR, o których dochodzą nas informacje. Dzielimy się doświadczeniem i publikujemy dokumenty Międzynarodowej Organizacji Pracy, które są mało znane w naszym kraju.

- Czy KGB nie konfiskuje tej gazety? Jeśli wysyłacie ją pocztą, to czy odbiorcy otrzymują egzemplarze?

- Tak, one dochodzą. KGB nie zwraca na nas szczególnej uwagi. Nasze prawdziwe problemy zakończyły się około roku 1987. Przed tą datą przerywano nam zebrania, nie mogliśmy wynajmować pokoi w hotelach, wyłączano nasze telefony. Przed zebraniem członków naszej organizacji powoływano do służby wojskowej. Obecnie dotyczą nas jedynie sporadyczne prześladowania. Nie pozwalają nam, jak już wspomniałem, udać się do Workuty, ponieważ obawiają się strajków w tamtym rejonie.

Sądzę, iż władze zdały sobie wreszcie sprawę z tego, iż oficjalne związki zawodowe są całkowicie zdyskredytowane. Wiedzą, że prędzej czy później powstanie prawdziwy ruch związkowy.

- Ale wy nie nazwaliście się jeszcze niezależnym ruchem związkowym?

- Nie. Związek Robotników Litwy nie chce jeszcze być nazywany niezależnym związkiem zawodowym, albowiem jest on czymś w rodzaju struktury pośredniej między związkiem zawodowym a partią polityczną. Nie jesteśmy ani jednym ani drugim, ponieważ żyjemy w kraju okupowanym, w systemie gospodarki nakazowej, niczego nie można tu osiągnąć bez ocierania się o politykę. Wszystko jest polityką, toteż musimy prowadzić naszą walkę posługując się środkami politycznymi. W przyszłości, kiedy sytuacja znów stanie się "normalna", będziemy związkiem zawodowym.

- Co robi wasza organizacja? Czy przygotowujecie jakieś strajki?

- Naszym zdaniem, na obecnym etapie strajki nie przysłużyłyby się Litwie. Litwini pragną autonomii gospodarczej. Nie chcą, żeby ich patriotyzm podminował gospodarkę. Z drugiej wszelako strony, strajki wybuchają w poszczególnych zakładach - my wtedy je popieramy.

Uważamy, iż jeśli zajdzie taka potrzeba, powinno dojść do strajku generalnego - wierzymy, iż jesteśmy zdolni do jego zorganizowania. Uznaliśmy jednak, iż sytuacja wzywa do zastosowania innych środków. Na przykład, w około stu litewskich przedsiębiorstwach najmniejszy wymiar urlopu został zwiększony z 18 do 21-24 dni. W kilkunastu innych przedsiębiorstwach zostały zniesione "czarne" /czyli robocze/ soboty. Obecnie walczymy o zniesienie pracy nocnej kobiet.

Naszym najważniejszym zadaniem jest obecnie przekazanie przedsiębiorstw w ręce prywatne, ponieważ nie poradzimy sobie bez prywatnych właścicieli. Musimy opracować system wyboru własności, w wyniku zastosowania którego robotnicy mogliby na przykład stać się posiadaczami przedsiębiorstw. Bierzymy udział w przygotowaniu prawa o prywatyzacji, który to pomysł przedstawił "Sajudis".

- Czy w Komitecie Koordynacyjnym ruchu robotników dały się odczuć silne konflikty narodowościowe lub etniczne?

- Nie. Gdy cała prasa centralna zaatakowała republiki bałtyckie, po znanym oświadczeniu KC KPZR z 26 sierpnia /w którym ostro skrytykowano wysiłki państw bałtyckich w celu uzyskania większej niepodległości - przyp. red./, wszystkie komitety strajkowe oraz kluby robotnicze w ZSRR spotkały się w Moskwie 15 września i wydały rezolucję, w której oświadczono, iż nie można pozbawić żadnego narodu prawa do samostanowienia, oraz, iż jeśli republika wyrazi chęć oderwania się od ZSRR, ma do tego prawo. Uczestnicy tego spotkania postanowili również wezwać do strajków jeżeli nie ustaną groźby pod adresem państw bałtyckich.

- Czy w organizacjach robotników państw bałtyckich obecne są resentymenty antyrosyjskie?

- Nie. Członkowie Związku Robotników Łotwy są w połowie Rosjanami, w połowie zaś Łotyszami. Na Litwie silny oddział naszego związku znajduje się w Snieczkusie, które to miasto jest w całości rosyjskie.

- Czy wasz komitet organizacyjny zbiera pieniądze?

- Dysponujemy niewielką kwotą gotówki. Związek Robotników Litwy jest najbogatszą organizacją robotniczą w ZSRR. Z czasem jednak, jestem tego pewien, inne organizacje robotnicze będą zbierać fundusze.

- Czy komitet koordynacyjny posiada przewodniczącego?

- Nie. W Moskwie jest tylko grupa osób zbierających i rozpowszechniających informacje.

- Czy był Pan obecny podczas jakichkolwiek strajków poza terytorium Litwy?

- Nie, nie podczas strajków, ponieważ nie byłoby to dobrze przyjęte w Konpresie. Często jednak odwiedzałem fabryki, gdzie powstały komitety strajkowe.



Byłem w wielu takich zakładach, w których odbyłem sporo interesujących rozmów. W naszej "cichej dzicy", jak nazywana bywa Rosja, można rozmawiać swobodnie; ludzie rozumieją, co trzeba zrobić.

- Czy ruch robotniczy jest antykomunistyczny?

- Antykomunizm nie jest jednym z naszych sloganów. Jesteśmy przeciwko aparatowi. Jeśli szczerzy komuniści - a są tacy - przychodzą do nas po to, żeby zwalczać aparat, wtedy przyjmujemy ich.\*

- Czy wasz ruch popiera Gorbaczowa?

- Tego nie powiedziałbym. W ZSRR popularność Gorbaczowa wśród robotników jest bardzo niska. Wszyscy twierdzą, że wygłasza on kwieciste mowy, ale robi bardzo niewiele konkretnego, nadto, że nie jest jasne, co się za jego rządów wydarzy, w każdym razie - dodają - od tego wszystkiego nie polepszy się los robotników. Gorbaczow nie jest darzony ciepłymi uczuciami.

- Ile strajków wybuchło w ZSRR od roku 1989?

- Wyjawszy wielkie strajki, o których wszyscy słyszeli, wybuchło ich około dziesięciu - trwały one od kilku godzin do tygodnia, jednak prasa je zignorowała.

- Czego dotyczyła większość żądań robotników?

- Zwykle konkretnych problemów istniejących w przedsiębiorstwach, w których wybuchły strajki. Uważam, iż przez pewien czas nie będą występować żądania polityczne.

- Jak Pan sądzi, kiedy wystąpią żądania wolnych związków zawodowych?

- Wszystko się może stać. Może również nastąpić zamach stanu - być może nawet tej zimy. Jeśli nawet on nie nastąpi, a wypadki będą biegły w tym samym kierunku co obecnie, stanie się to, jak sądzę, za rok.

- Co Pańskim zdaniem się stanie, jeżeli Gorbaczow wprowadzi stan wojenny? Czy wybuchną wtedy strajki?

- To prawda, Gorbaczow może wprowadzić stan wojenny. Wówczas jednak sytuacja w ZSRR upodobni się do sytuacji w Polsce po złamaniu "Solidarności". Wewnętrzna emigracja - ucieczka od życia publicznego - wystąpi na jeszcze większą skalę niż obecnie. Odizolowany od społeczeństwa reżim wojskowy będzie niezdolny do zaradzenia gospodarczym problemom kraju, ponieważ rozwiązanie takie stało się niemożliwe ze względu na zmiany zachodzące w technice. Potrzebujemy wolności w celu unowocześnienia gospodarki i wzrostu produkcji.

- Czy mógłby Pan przedstawić portret typowego działacza robotniczego, pochodzącego nie z Litwy, tylko z serca ZSRR, na przykład z rejonu Donbasu?

- Taki typowy działacz jest zwykle osobą młodą, poniżej 30. Jest żonaty, ma dzieci. Nienawidzi aparatu. Nie potrafi myśleć zbyt konstruktywnie - nie wie, co ma odrzucić, co zaś budować.

- Czy ów typowy działacz spędzał czas w więzieniu lub w obozie karnym?

- Nie, nasze pokolenie nie doświadczyło takich represji. Musieliśmy tylko przywyknąć do nękania nas przez KGB.

Działacz robotniczy próbował zwykle czytać coś na własną rękę, być może nawet Marksa, jeśli nie było pod ręką innego autora mogącego posłużyć mu za przewodnika w sprawach życiowych. Słucha on zachodnich programów radiowych, jednak nie ufa Zachodowi, uważa, iż można się stamtąd wiele nauczyć, pragnie jednak, żeby jego kraj poszedł własną drogą.

- Czy słyszał o "Solidarności"?

- Tak. Nim stał się członkiem ruchu robotniczego jego nastawienie w stosunku do tej organizacji nie było życzliwe, obecnie jednak darzy ją sympatią.

- Czy jest religijny?

- Nie. Gdyby był, działałby w ruchu innego rodzaju.

- Czy słyszał o ruchach robotniczych w ZSRR w latach 20. ?

- Tak, i bardzo go to interesuje.

- Czytał Sołżenicyna?

- Tak, czytał, bądź czyta obecnie, "Archipeląg Gułag".

- Czy należał kiedykolwiek do partii komunistycznej?

- Chyba nadal do niej należy. Będąc członkiem partii, zrozumiał, jak działa system, w którym żyje; przez to znienawidził aparat. Kiedyś uczestnictwo w życiu publicznym było zupełnie niemożliwe, jeżeli nie należało się do partii.

Jednak po pewnym czasie należenia do niej wiele ludzi pojęło, iż to właśnie partia ponosi winę za wiele spraw. Osoby te doszły do wniosku, iż żeby coś działać, muszą zacząć od początku - tyle że w innej partii. Wielu z tych działaczy to szczerzy komuniści.

- Sam był Pan członkiem partii - od roku 1981 do 1988. Jak Pan teraz ocenia ów okres?

- Chciałem coś osiągnąć, działać i nie było na to innego sposobu. Gdy należałem do partii robiłem wiele hałasu w fabryce, w której pracowałem, uczestniczyłem we wszystkich zebraniach partyjnych i moje poczynania dawały całkiem niezłe rezultaty. Wcale nie żałuję lat spędzonych w partii, ponieważ mogłem wtedy naprawdę działać.

- Czy Pańskie wstąpienie do partii było aktem zimnej kalkulacji, czy też było ono przynajmniej częściowo umotywowane komunistyczną ideologią?

- "Komunizm" to niezupełnie właściwe słowo. Interesuje mnie dobro społeczeństwa. Widzę, iż tu, w Ameryce, interesy społeczne są pod lepszą ochroną. Nikt tu nie głosił, iż są one czymś, czym w rzeczywistości nie są, zostały one uznane, w sposób naturalny, chronią je zaś państwo i społeczeństwo. Możemy mieć tylko nadzieję, iż pewnego dnia nasze społeczeństwo będzie właściwie cenić pracę ludzką oraz jej owoce, środowisko naturalne - tak jak wszystko to cenione jest w Ameryce. Wydaje się, że Zachód znajduje się bliżej socjalizmu aniżeli kraje "komunistyczne".

- Komunizm jest jednak również systemem, ideologią, której nie można łączyć z pluralizmem, czy demokracją...

- Przeciwko demokracji występują aparat oraz dyktatura proletariatu. Włochy mają liberalny socjalizm, RFN demokratyczny socjalizm, gdyby jednak zapytać mieszkańców ZSRR, czym jest socjalizm, nikt nie potrafiłby odpowiedzieć. Socjalizm bierze początek w wartościach chrześcijańskich: troski o bliźniego i pomagania mu, oraz rozumienia tego, że ma on takie same prawa jak my sami.

- Wracając do Pańskiego członkostwa w partii komunistycznej: kiedy ostatecznie Pan z niej wystąpił?

- Ostatniej zimy, przed wyborami. Usiłowano dyktować mi, co mam uczynić, gdybym został wybrany. Powiedziałem tak: jestem posłuszny wyborcom, nie zaś aparatowi. Potem publicznie oddałem legitymację partyjną.

- Porozmawiajmy nieco o Litwie. Jak Pan wytłumaczy rozwój wypadków na tamtym terenie w ciągu ostatnich dwóch lat?

- Sprawa jest bardzo prosta: sentymenty narodowe oraz wola przetrwania zawsze były bardzo rozpowszechnione na Litwie. Przez dziewięć lat po zakończeniu II wojny światowej walczyliśmy przeciw Sowietaom w lasach: zginęła wtedy jedna trzecia naszej ludności. Potem śpiewaliśmy potajemnie patriotyczne pieśni. Udawało się nam publikować pewne rzeczy na łamach oficjalnej prasy - oczywiście zrozumienie czegokolwiek wymagało umiejętności czytania między wierszami. Istniała katolicka prasa podziemna. Podziemny uniwersytet prowadził nauczanie za pośrednictwem kursów korespondencyjnych. Cała ta działalność była jednak rozproszona i prowadzona w ukryciu; wiele osób, które pragnęły się do niej włączyć, nie mogło dotrzeć do małych grup, które ją prowadziły. Gdy przyszedł rok 1988, grunt był już całkiem dobrze przygotowany. Wszystko zaczęło się toczyć z błyskawiczną szybkością, dosłownie z dnia na dzień.

- Jaki jest cel "Sajudisu"?

- Niezależna Litwa - demokratyczna i zdemilitaryzowana.

- Czy sądzi Pan, że jest to możliwe, biorąc pod uwagę sprzeciw Moskwy?

- Chyba tak. Jeśli w Europie Wschodniej powrócą gospodarka rynkowa oraz rządy prawa, imperium sowieckie nie może przetrwać. Jednak zmiany te wymagają czasu - oznacza to, iż Litwa będzie musiała przejść przez okres "niezdecydowania", podczas którego status państwa litewskiego pozostanie niejasny. W każdym razie już niedługo Litwa i ZSRR podpiszą układ jako równoprawni partnerzy.

- Układ gospodarczy?

- Owszem, lub też układ dotyczący obecności wojsk radzieckich na terytorium Litwy. My sami zdecydujemy o naszych losach - o których już de facto, jeszcze nie de jure, i tak decydujemy.

- Oprócz "Sajudisu" są też inne, bardziej radykalne organizacje. Co Pan o nich sądzi?

- W roku 1988 cieszyły się one dużym poważaniem. Wtedy były potrzebne, wypełniały lukę powstałą tam, gdzie "Sajudis" nic nie mógł zdziałać. Stosunki między tymi ugrupowaniami i "Sajudisem" były dobre. W zeszłym roku sam utrzymywałem kontakt z tymi organizacjami.

Z drugiej jednak strony, sędzę, iż popełniły one błąd, bojkotując wybory do Rady Deputowanych Ludowych w lutym i marcu. Musimy mieć w Moskwie kogoś, kto będzie mówił w naszym imieniu, po to, żeby nikt niepowołany tego nie czynił. Zdaniem radykalnych grup, tamte wybory były nielegalne, ponieważ były to wybory rządu okupacyjnego. Jeśli chodzi o mnie, zdaję sobie wyraźnie sprawę z tego, jak wygląda moja sytuacja jako deputowanego do Rady: gdybym urodził się w ojczystym kraju, gdzie odbywałyby się wybory do parlamentu znajdującego się na obcym terytorium, byłoby moim chrześcijańskim obowiązkiem udać się tam i ogłosić, iż wszystko nie powinno się odbywać w taki właśnie sposób. Otóż tak właśnie uczyniłem i nie odczuwam z tego powodu winy. Ktoś przecież musiał to zrobić. Nadto, okazuje się, że Gorbaczow traktuje poważnie delegację litewską: słucha tego, co mamy do powiedzenia. Cieszymy się sporym poważaniem w parlamencie, zaś ja sam mogę wywierać wpływ na deputowanych z innych republik. Organizacje radykalne trzymały się na uboczu: w efekcie nie mogły one tego czynić. Obecnie ich popularność gwałtownie spada, Litwini dostrzegają, że grupy te obrały złą strategię.

- Czy w Pańskiej wizji przyszłej Litwy jest miejsce dla tych organizacji, zwłaszcza dla "Ligi Wolności" i "Partii Demokratycznej"?

- Przedstawiciele "Ligi" zasiadają za okrągłym stołem gromadzącym wszystkie litewskie siły polityczne; stół ten zbiera się co tydzień. Niestety, ów okrągły stół nie przyniósł oczekiwanych rezultatów. Wszyscy liczą na to, że weźmie w nim udział partia komunistyczna; otrzymaliśmy już od niej oficjalne zapewnienie, iż weźmie - jako równoprawny partner. "Partia Demokratyczna", której główną domeną są idee, nie zaś czyny, stoi politycznie bliżej "Sajudisu" niż "Liga Wolności".

- Jakiego rodzaju stosunku łączą litewski ruch narodowy z innymi narodowościami zamieszkującymi na Litwie?

- Najlepsze stosunki utrzymujemy z Żydami, Ukraińcami i Białorusinami. Mają oni własne ruchy, którym udzielamy pomocy i które czynią wiele dobrego dla swoich republik.

Stosunki z Rosjanami na Litwie nie są tak dobre. Wielu Rosjan przybyło na Litwę w ciągu ostatnich dwóch, pięciu lat; ludzie ci nie zdążyli jeszcze stać się częścią litewskiego społeczeństwa. Bardzo nam nie ufają. Jednak sytuacja ulega poprawie. Jak już wspomniałem, oddział "Związku Robotników Litwy" został założony w zamieszkałym przez Rosjan mieście Sniecuskus. Mamy swoją komórkę w elektrowni atomowej w Ignalinie - żartujemy, że posiadamy własną bombę atomową. Utworzyliśmy przy Litewskiej Radzie Najwyższej specjalną komisję pomocniczą, zajmującą się sprawami naszego rejonu. Prawo językowe, które wymaga, żeby przybysze na Litwę nauczyli się języka litewskiego w ciągu dwóch lat, zostało zmienione w wypadku Sniecuskusa - jego mieszkańcy mają na to czas do pięciu lat. Zmiany tej zażądali oni sami. W Wilnie "Jedinstwo", czyli "Jedność" /grupa komunistów, głównie Rosjan, sprzeciwiających się reformom i przeciwna litewskiemu ruchowi narodowościowemu - przyp. red./ cieszy się dużym poparciem, jednak, jak wykazują badania ankietowe, poparcie to maleje w miarę zyskiwania przez nasze organizacje popleczników wśród Rosjan zamieszkujących Litwę.

Najgorsze stosunki łączą nas z Polakami. Zamieszkują oni w dwóch rejonach Litwy, najczęściej na wsiach. Jak wszyscy mieszkańcy wsi, Polacy byli zmuszani do posłuszeństwa przez przewodniczących kołchozów. Ci ostatni zachowują się jak panowie feudalni. Mieszkańcy wsi obawiają się rozmawiać, a przynajmniej mówić prawdę. Ci panowie feudalni - mam na myśli przewodniczących kołchozów oraz sekretarzy lokalnych komitetów partyjnych - zażądali autonomii dla swoich obwodów w imieniu ludności polskiej. Powiedzieliśmy im tak: świetnie, zaprowadźcie demokrację we własnym domu, nauczcie się polskiego, wywieście tabliczki z polskimi nazwami, zaproście intelektualistów z Polski, a potem porozmawiamy o autonomii dla was. Usłyszałem taką oto odpowiedź: mówimy i piszemy po rosyjsku lepiej niż po polsku. My na to: przykro nam, ale dopóki nie nauczycie się po polsku,

póty nie będziemy mieli o czym dyskutować. Jeśli chcecie, żeby język polski stał się językiem oficjalnym na terenach, na których mieszkacie, mówcie po polsku. Jeżeli jednak będziecie mówić językiem bolszewików, jeśli będziecie rzuciwać się obywatelstwu Litwy oraz interesom litewskim, bardzo trudno będzie nam osiąść do rozmów z wami... \*\*

- Czy wielu Polaków należy do "Sajudisu"?

- Bardzo niewiele. Jest ich więcej w Związku Robotników Litwy - co nie zaskazuje, albowiem w zakładach pracy w Wilnie zatrudnionych jest wielu Polaków. Interesują ich kontakty z "Solidarnością", zapraszamy więc na Litwę przedstawicieli "Solidarności" - wysyłamy też naszych ludzi do Polski, po to, żeby uczyli się na polskich doświadczeniach.

- Ostatnio słyszy się wszędzie o "Pribałtice" /rosyjski termin oznaczający sąsiedztwo bałtyckie - przyp. red./. Czy oznacza to, że przygotowuje się bałtycka wspólnota narodów?

- To bolszewicy ukuli ów termin. Odnosi się on do trzech okupowanych państw bałtyckich, które doświadczyły podobnego losu, i które obecnie stają się wolne, pomagając sobie w tym odzyskiwaniu wolności pomagając. Fronty ludowe tych krajów podpisały porozumienie i możliwe, iż - gdy tylko kraje te odzyskają niepodległość - połączą się one, tworząc coś w rodzaju unii.

Mówi się również o czymś na podobieństwo wspólnego rynku, składającego się z tych trzech krajów bałtyckich. Utworzylibyśmy całkiem poważny potencjał w gospodarce europejskiej. Bylibyśmy dużym krajem - jeśli nawet nie w sensie gospodarczym, tylko w terytorialnym - w rezultacie reszta Europy musiałaby brać nas poważnie.

- Czy przetrwacie, jeśli Gorbaczow upadnie?

- Należy zapisać na konto jego zasług to, czego dokonał. Jednak ani szczęście nam on nie pomógł, ani nie zaszkodził. Pomagamy sobie sami.

Często nas pytają, czy nadmierne żądania wysuwane przez kraje bałtyckie wobec Gorbaczowowi - i przez to mogą zagrozić naszej własnej przyszłości. Wszech odpowiadamy tak samo: my, narody bałtyckie, korzystamy z drogi parlamentarnej. Nasz ruch jest ruchem cywilizowanym - chcemy doprowadzić do podpisania traktatu drogą negocjacji. To nie kraje bałtyckie, tylko raczej Rosja, powodzi Gorbaczowowi, właśnie z nią łączą się największe problemy i największe zagrożenia bezpieczeństwa. To Rosja zadecyduje, jaki będzie rozwój wypadków, nie kraje bałtyckie.

przełożył: MASON

Rozmowa zainteresowanego polityką Polaka z działaczem niezależnym z Sowietów przebiega najczęściej wg. schematu dialogu gości z prosięciem. Dla Polaka bowiem wyjątkowo negatywne nastawienie jest oczywistością, co dla odmiany nie znajduje odzwierciedlenia u sowieckiego rozmówcy. Przykładem takiej właśnie, co najmniej ambiwalentnej wobec komunizmu postawy są poglądy głoszone przez Kazimierza Uokę. Jego właśnie powodu, m.in. uznaliśmy za pożądane zapoznanie z jego wypowiedziami polskiego czytelnika.

Jan Zagłoba powiedziała: Diabeł się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni każdy AQUEDUKT - "N"/.

niezależnie zaprezentowana dalej wizja stosunków z Polakami na Litwie wydaje się godna popularyzacji w Polsce. Także i po to, by wiedzieć z jakimi problemami będziemy się uporać. Ale o tym w numerze następnym. /Redaktor Dyżurny "N"/.

przedruk: "THE SUNDAY TEEGRAPH" 16.X.1989

Spuścizna Tity w Jugosławii przejawia się we wstrząsach na tle zadawnionych waśni narodowościowych, Rumunia cierpi pod rządami dynastycznego komunizmu; jeden tylko człowiek pozostaje obojętny na posunięcia "nowych ludzi" w Europie Środkowej, jest nim Otto von Habsburg\*, dziedzic węgierskiej korony apostołskiej św. Stefana. Ma obecnie 77 lat, mieszka w Pocking w Bawarii i trzyma się na tyle dobrze, by w Parlamencie Europejskim, gdzie reprezentuje okręg Bawarii, gwałtownie zaatakować posła Iana Paisleya za krytykowanie papieża. Von Habsburg jest zdania, iż dla Europy Zachodniej nadszedł czas, by przyczynić się do rozpadu struktur narzuconych przez Moskwę jego byłym lennom rodzinnym.

- W Parlamencie Europejskim - mówi von Habsburg - podjęliśmy zasadniczą decyzję - otóż nie jesteśmy Europą. Jesteśmy dopiero zaczątkiem Europy.

Jest to wyznanie wiary w przyszłość oparte - w wypadku von Habsburga - na przeszłości. - Dla mnie Europa rozciąga się aż do naturalnych granic Rosji, poza którymi znajdują się państwa bałtyckie i inne terytoria - twierdzi. - Musimy starać się zacieśnić tyle więzów europejskich, ile tylko możliwe, by wywołać na tych ziemiach wizję społeczności europejskiej.

- Sam Gorbaczow zaczyna mówić o tym "domu europejskim", do którego mam bardzo poważne zastrzeżenia z jednego prostego powodu: oto Rosja jest ostatnią wielką potęgą kolonialną w świecie, w którym nadeszły, wszak czasy dekolonizacji. Pamiętam, jak gen. de Gaulle powiedział mi: "Wielce współczuję Rosjanom, mają przecież Algierię we własnych granicach".

Otto von Habsburg dobrze pamięta słowa, jakich używało się w jego epoce; należy jednak wątpić, czy cesarz Franciszek Józef, którego stylizowany portret, przedstawiający monarchę w młodości, wisi teraz nad kominkiem jego mieszkania opodal Starnberger See, chętni widzieliby swoje królestwo jako konfederację, albo też, by krytykował kolonializm.

Ale - co podkreśla kuzyn cesarza - imperium Habsburgów było przedmurzem chrześcijaństwa, a więc i Europy, osłaniającym je przed Turcją Ottomańską. Otto von Habsburg podkreśla również swoją wierność dziedzictwu kulturalnemu tego państwa, oraz pogardę do nowych najeźdźców ze wschodu. - Powinniśmy udzielać poparcia wszystkiemu, co przyczynia się do rozluźnienia rosyjskich kajdan na rękach Europejczyków - twierdzi z przekonaniem.

- Jest naszym obowiązkiem popieranie wszystkiego, co prowadzi do wewnętrznej liberalizacji w krajach zdominowanych przez Rosję, oraz zacieśnianie więzów między nami, na Zachodzie, a wschodnimi pobratymcami. Jednocześnie nie powinniśmy zbytnio przejmować się osobistymi problemami pana Gorbaczowa. Powinniśmy natomiast poddać głębokiej analizie nasze stosunki z poszczególnymi krajami, na przykład z Polską, czy też Estonią.

- Wszędzie obserwuje się obecnie wzrost napięć na tle narodowościowym. Jest coś, czemu dotychczas poświęca się niewiele uwagi, otóż te ruchy narodowościowe zrodziły się w łonie partii komunistycznych, wewnątrz machiny, której dawniej nakazano by wstrzymać takie tendencje; dziś partie są motorem sił narodowych.

Herr von Habsburg - dawniej podpisywał się "Otto Austria", dziś jednak nie zależy mu na jakichkolwiek tytułach - uważa obecny kryzys w Jugosławii za poważny i nie do uniknięcia, za produkt powrotu do takiego szowinistycznego mininacjonalizmu, który w swoim czasie zniszczył Austro-Węgry.

- Największym zagrożeniem jest możliwość wojskowego zamachu stanu pod wodzą Serbów. W Słowenii już znaleziono listy przygotowane przez wojsko, zawierające nazwiska osób, które mają być rozstrzelane pierwszego dnia po przewrocie.

Sympatie Otto von Habsburga leżą niedwuznacznie po stronie północnych Jugosłowian, czyli Chorwatów i Słoweńców, którzy byli niegdyś poddanymi Habsburgów, a dzieś żyją na wyższym poziomie niż Serbowie. Czy te dwa narody mogłyby oderwać się od federacji i utworzyć własne, niezależne państwo, które spełniałoby warunki przyjęcia do Europejskiej Rady Ekonomicznej? - Z pewnością odpowiadałoby to pragnieniom tych narodów - odpowiada von Habsburg - jednak bardziej prawdopodobne są represje nie zaś oderwanie się.

Jego wielką nadzieją na Węgry, które odwiedził latem 1988 roku /po raz pierwszy

od 70 lat/ i odkrył, iż "dokonuje się tam ogromny postęp". Było to dlań głębokie katharsis: - Nie widziałem tego kraju od czasu koronacji mojego ojca, która wywołała na mnie wtedy, a byłem wszak małym dzieckiem, wielkie wrażenie.

Działalność von Habsburga w Parlamencie Europejskim rozpoczęła się w roku 1979, kiedy to przyjął on obywatelstwo RFN. zachowując także austriackie, po to, by odegrać, ze względu na nazwisko, które nosi, rolę w rozwoju Europy - której długo mu odmawiano. Niektórzy dziennikarze twierdzą, iż obecność w tym Parlamencie grupy osób, w której oprócz von Habsburga znajdują się potomkowie Bismarcka, oraz "Żelaznego Księcia" - Wellingtona - potwierdza opinię, że owo ciało jest czymś w rodzaju anachronicznej Izby Lordów z pretensjami do władzy, nie zaś posiadającej rzeczywistą władzę.

JKednak pochodzenie von Habsburga stwarza dlań możliwość odegrania roli przedstawiciela tych pałaci Europy, których nie objął nowy porządek, chodzi tu nie tyle o narody wschodnio-europejskie, ile o mówiących po niemiecku uciekinierów z RUmunii, Węgier i Czechosłowacji, którzy masowo napłynęli do RFN.

Europejskie idee von Habsburga przypominają to, co głosi pani Thatcher:

- Nie popieram idei utworzenia jakiegoś superpaństwa. Obawiam się bowiem unifikacji, która jest pochodną pędu do centralizacji, charakteryzującego pewne biurokratyczne umysły i serca... społeczność to związek niezależnych narodów, które zachowują swoją suwerenność aż do chwili, gdy wspólny interes zaczyna wymagać, by zrzec się jej części na rzecz jakiejś rozleglejszej struktury.

Jego ambicją stało się wprowadzenie Austrii do Europejskiej Rady Ekonomicznej. Otto von Habsburga wygnano z ojczyzny wraz z ojcem, Karolem, który zrzekł się tronu w roku 1918, kiedy to runął gmach EUropy. Prywatne posiadłości jego rodziny zostały skonfiskowane, a w 1937 r. ponownie zwrócił je kanclerz Schuschnigg, po czym zagarnęli je hitlerowcy. - Hitler nie lubił mnie. Był ciasnym nacjonalistą.

Ostatnie dyskusje w Austrii na temat niemieckiej przynależności tego państwa, które nasiliły się w związku ze sprawą wojennej przeszłości prezydenta Waldheima, uważa on za "bezsensowne".

- Jeśli porównamy Niemcy do samolotu, miał on dwa skrzydła: północne, czyli Prusy, i południowe - Austrię. Po roku 1866, kiedy to Bismarck pokonał Austrię i na dobre przyłączył do Niemiec inne państwa niemieckie, ów samolot musiał spaść na ziemię.

Od blisko trzech dziesięcioleci Otto von Habsburg żywił nostalgiczną nadzieję, iż pewnego dnia monarchia austro-węgierska może zostać odtworzona. Obecnie stary arystokrata zgadza się na to, żeby jego rodzina odegrała bardziej realistyczną rolę - ma on nadzieję na to, że jego 26-letni syn Karl odegra jakąś rolę w polityce austriackiej. - Jest to jego prawo, nie będzie on jednak prezydentem.

Ta nuta realizmu nie oznacza jednak rozczarowania możliwościami monarchii. Otto von Habsburg wskazuje na Wielką Brytanię i Hiszpanię jako na dowód, iż osoba przywódcy jest siłą jednoczącą.

Przeszłość Habsburgów, podkreśla, była mniej represyjna. - Jeśli coś istniało przez 750 lat, musiała to być bardzo solidna struktura.

Dziś imperium Ottona von Habsburga ogranicza się wyłącznie do przestronnej willi w Pocking, zakupionej za wpływy z książek, jednak jego zasada życiowa pozostaje wciąż jedna: noblesse oblige.

przełożył: MASON

+ Otto von Habsburg odwiedził niedawno Polskę, gdzie spotykał się szczególnie ze środowiskami prawicowo-konserwatywnymi, zainteresowanymi problematyką europejską - "N".

## XL. CARMANIOLA NA FELIKSPLACU

"Już niszczy się dzieła sztuki, ale jeszcze nie artystów, już pali się książki, ale jeszcze nie pisarzy: i co z tego? Ciąg dalszy jest nieunikniony, wytyczony przez niezawodny mechanizm historii". A ten mechanizm to ... walka klas - inteligencji i reszty, w której "inteligencja polska została skazana na zagładę". W takiej to, trzeba przyznać ekspresyjnej, formie w zatytułowanym (symbolicznie) "Przed naszą egzekucją") felietonie oddaje w w 157 nr. "Gazety Wyborczej" (z 14 grudnia ub.r.) sprawiedliwość naszym czasom Anna Bojarska. Bo przecież doczekaliśmy się czasów, w których "lumpenproletariat buduje lumpenkapitalizm", w których "ku ucieście motłochu niszczy się z fanfarami rzeźbę Dunajewskiego", słowem "najlepszych czasów na umieranie. Takich, kiedy nie ma już niczego, co byłoby żal zostawić odchodząc."

Zaiste, apokaliptyczna to wizja. I zarysowana niezwykle - nawet jak na Annę Bojarską - drapieżnie. Z reguły bowiem zamieszczane w "GAZECIE WYBORCZEJ" a odnoszące się do szeroko rozumianych spraw kultury felietony tej autorki wyróżniają się temperamentem publicystycznym - ostatnie, jak zwykle interesujące przykłady tej metody to "Ten potwór Bułhakow" ("G.W." nr 14) i "Na skróty" ("G.W." nr 19).

Wydaje mi się jednak, że w cytowanym powyżej przypadku felietonu "Przed naszą egzekucją" publicystyczny temperament Anny Bojarskiej sprowadził ją na manowce. I nie chodzi mi tu wcale o skwitowanie wybijania się na wolny rynek passusem o lumpenproletariacie budującym lumpenkapitalizm. Ten, skądinąd majstersztyk w epitetologii stosowanej, jest tak oczywiście niesprawie dliwy, że polemiczne potraktowanie go przypominałoby wyważanie otwartych drzwi.

Konieczna wydaje mi się natomiast polemiką z inną wizją Anny Bojarskiej. Oto zgromadzony na stołecznym placu motłoch świętuje "z fanfarami" niszczenie ku jego ucieście dzieła sztuki - rzeźby dłuta Dunajewskiego, czyli warszawskiego pomnika Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego. Słowem istna - by trzymać się poetyki Anny Bojarskiej - carmaniola na Feliksplacu.

Tymczasem nic z tych rzeczy. Przede wszystkim na Placu Bankowym w Warszawie nie było żadnego m o t ł o c h u! Był natomiast rozradowany tłum warszawiaków uczestniczący w swoistym festynie. I miał do tego prawo i powód. Zniknął oto miał bowiem z centralnego placu Stolicy pomnik twórcy najbardziej chyba w historii zbrodniczej organizacji polityczno-policyjnej, człowieka, który "na ziemię ojczystą (...) wroga odwiecznego naprowadził" i dla którego "na ziemi polskiej" nie powinno się znaleźć "ani tyle miejsca, ile zajmują stopy człowieka, ani tyle ile zajmie mogiła" ani tyle, chciałoby się tu uzupełnić Żeromskiego ("Na plebanii w Wyszkuwie") ile zajmuje postument pod pomnik.

A trzeba pamiętać, że był to chyba najbardziej znienawidzony oficjalny monument w stolicy i Warszawa nigdy się z nim nie pogodziła. "Pomazany od stóp do głów krwią ludzką" - by znów zacytować Żeromskiego - komunistyczny bohater wyprężony dumnie na cokole - to była przecież prowokacja. Odpowiedzią był różnie manifestujący się sprzeciw. "Krawawemu Feliksowi" malowano na czerwono ręce, ba nawet usiłowano pomnik podpalić. Przez długie lata z mizernym skutkiem. "Żelazny Feliks" jakby potwierdzał swój bolszewicki przydomek. Trwał.

Ale do czasu. W wybijającej się na niepodległość, demokrację i wolny rynek Polsce dla Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego miejsca zabrakło. Sprawiedliwość dziejowa się dokonała. Zgromadzony na Placu Bankowym tłum nie tańczył więc carmanioli, lecz asystował tylko, oczywiście z radością i z satysfakcją, przy wykonaniu tego werdyktu.

Jeśli przyjmujemy ten punkt widzenia to wysuwane przeciwko "likwidacji" satatury twórcy Czeki obiekcje tracą jakby na znaczeniu:

- Zniszczono dzieło sztuki. Chyba tak, choć jestem w tej dziedzinie dyletantem, dzieło Dunajewskiego uosobiało dla mnie rewolucyjny romantyzm. P' cóż z tego. A gdyby jakiś wybitny ekspresjonistyczny artysta stworzył uosabiającą demonizm nazizmu rzeźbę Hitlera?

A zresztą, za to, że nie bardzo wiadano co z "betonowym", jak się okazało, a nie "żelaznym" Feliksem zrobić ani jak się do jego demontażu zabrad warszawski radosny tłumek napewno nie ponosi winy. Dyletanctwo to obciąża przecież władze miejskie. A, że destrukcja pomnika - zresztą, jak słyhać, nieostateczna - ucieszyła warszawiaków, to wg. mnie normalne i nie daje pod staw do wyciągania żadnych dalej idących wniosków. Tak jak satysfakcja społeczeństwa po rozebraniu prawosławnego soboru zlokalizowanego na Placu Saskim wkrótce po odzyskaniu niepodległości w żadnej mierze nie uprawnia do wysuwania wniosku, iż ówcześni Polacy aprobowali niszczenie świątyń.

- Zniszczono świadka historii - Tak jest! Pomnik ten wraz z innymi rzeźbami, popiersiami, tablicami pamiątkowymi, napisami, hasłami, nazwami ulic współtworzył otoczkę najpierw "idealnego" a potem "realnego" socjalizmu. Tylko, że niesposób żyć z jednej strony w muzeum okropności a drugiej w panoplicum.

Choć oczywiście lepiej by się stało, gdyby ten pomnik, wraz z podobnymi mu pamiątkami, zasilił jako jeden z głównych eksponatów przyszłe muzeum - skansen komunizmu. Zlokalizowane, to byłoby chyba najwłaściwsze, w jakiejś kiedyś prestiżowej a obecnie raczej kłopotliwej budowli realnego socjalizmu - jakiejś hucie, młeczarni, kopalni czy innej największej na świecie fabryce deficytu.

- Usunięcie pomnika Dzierżyńskiego to działanie li tylko symboliczne. Gospodarka się od tego nie poprawi, demokracja nie rozkwitnie a rozentuzjzmowani kapitaliści nie zaleją nas kapitałami!

To wszystko prawda. Ale nie cała prawda. Obiekcja ta byłaby uzasadniona gdyby Polacy gros swego czasu poświęcali na demontaż pomników. Tak przecież nie jest. Polacy demontują przede wszystkim komunizm a demontaż monumentu pierwszego czekisty logicznie wpisuje się w ten proces.

Kończąc chciałbym zaproponować jeszcze jedno działanie symboliczne - likwidację dominującego nad Warszawą symbolu podległości orientalnemu imperium - Pałacu Kultury, do niedawna jeszcze, a może i obecnie, noszącego imię Józefa Stalina. A może nie tyle działanie ile zastanowienie się co z tym fantem zrobić - oczywiście nie teraz, ale w jakiejś nie zabardzo odległej przyszłości. Zwłaszcza, że podobno w sąsiedztwie Pałacu ma powstać centrum handlowo-bankowe. Możeby wykorzystać taką okazję i nadać tej budowli bardziej dla Polaków strawny wygląd zewnętrzny.

Apeluję o wszelkie pomysły i propozycje w tym względzie.

Arkady AQUEDUKI

Ukazujący się od stycznia 1982 r. miesięcznik polityczny "NIEPODLEGŁOŚĆ" wydawany jest przez GRUPE PISMA "NIEPODLEGŁOŚĆ" - S.A. Posiada ona wszelkie prawa wydawnicze na obszarze Polski. Przedruk poszczególnych artykułów dozwolony z podaniem źródła.

Prawami wydawniczymi zagranicą dysponuje nasz Przedstawiciel Tadeusz KADENACY - 32 WINTERFOLD CLOSE, LONDON, SW 19 6 LE.

Współpracują z nami na terenie:

- Wielkiej Brytanii: "FRIENDS OF "NIEPODLEGŁOŚĆ" (adres - Tadeusz Kadenacy),  
- Skandynawii: Janusz CUPRYTJAK (Villagatan 10, 33012 Forsheda, SVEDEN).